Łódź odgłosy tygodnik społeczno-kulturalny

NR 44 (1247) ROK XXIV 1 LISTOPADA 1981 R. CENA 7 ZŁ

JAN LECHOŃ

B–MOLL

Wieje między aleje wiatr
listopadowy,
Zawiewa śnieg, co zimnem do
głębi przenika,
Ach! ileż mi to razy już przyszło
do głowy,
Że to jest właśnie polska
prawdziwa muzyka.

I czuję was jak wczoraj, o powiewy
wiatru.
Widzę płomień czerwony i trójnóg
ozdobny,
I słyszę, jak z balkonu Wielkiego
Teatru
Orkiestra gra powoli polski marsz
żałobny.

I jego ton ostatni przypominam
sobie,
Ten akord przeraźliwy, co chwilę
wyraża.
Gdy wszyscy się powoli rozchodzą
z cmentarza
I tylko jeden człowiek zostaje przy
grobie.

Foto: R. Łucyszyn

MAREK MILLER

DWIE WOJNY (2) SKALSKIEGO

Od generała *Kuropieski*, attaché naszej ambasady w Londynie, trzymał *Skalski* rozkaz stawienia się do personalnego MON. Był nim wówczas gen. *Stanisław Zawadzki*. Przyszli w kilku.

— *Dlaczego wracacie dopiero teraz? Trzeba było przyjechać w 45 roku. Byliście dzisiaj generałami.*

Zaprowadził go do *Roli-Zymierskiego*.

— *Zdecydowałem się przyjąć pana do wojska. Ale szkoda, że nie przyprowadził pan do Polski całego lotnictwa.*

— *Panie generale, przecież ja nie byłem dowódcą lotnictwa. Byłem zwykłym oficerem i to młodszym.*

Dostał urlop i w lipcu 1947 roku zgłosił się do pracy. W dowództwie wojsk lotniczych został szefem techniki pilotażu. Przez ten rok wszystko układało się normalnie. Z dowódcą lotnictwa, gen. *Romeyko* jeździł na inspekcję naszych jednostek. Nie miał poczucia, aby atmosfera wokół niego gęstniała, aż do 4 czerwca 1948 roku, kiedy nastąpiło aresztowanie.

„Mieszkałem wtedy na ulicy Filtrowej 73. Niedaleko mnie, na samej ulicy, mieszkał ożeniony z Angielką mój dawny podwładny, Władysław Śliwiński. Tego dnia jego żona, nie mówiąca po polsku, zadzwoniła do mnie do pracy z wiadomością, że Władek nie wrócił na noc do domu. Prosiła o pomoc. Zacząłem telefonować, najpierw po szpitalach a później do milicji. Nigdzie ani śladu. Postanowiłem pojechać do domu. A tam już był „kocioł". Pracownicy UB robili rewizję i zatrzymywali każdego, kto wchodził do tego mieszkania. W jednym z pokojów siedziało już 7 osób. Padał deszcz i okno było otwarte. Podszedłem do niego, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Zaraz podskoczył do mnie jeden z nich.

— Panie Skalski, od okna. Uciec pan nie ucieknie, bo będziemy rąbać.

W nocy, po cichu, czarnymi citroenami przewieźli ich na Koszykową. Przez 6 tygodni siedział bez światła dziennego, w piwnicy. W tym czasie zrobiono rewizję w jego mieszkaniu. „Kocioł" na Filtrowej utrzymywano przez dwa tygodnie a gen. Romeyko protestował, że aresztują jego oficerów bez jego wiedzy i zgody. Więzienie na Koszykowej tętniło wtedy „pełnią życia". Widział, jak przywożono powiązanych drutem AK-owców z Wrocławia. Słyszał, jak uczą się polskiego żołnierze majora Jelenia, który przyprowadził batalion komunitów z Francji, a którzy teraz robili za „klawiszy". Pewnie dlatego, że nie mieli w Polsce żadnych kontaktów i powiązań. Słyszał również jęki badanych. W lipcu 1948 roku był dwukrotnie przesłuchiwany przez *Różańskiego*. Przesłuchiwania odbywały się od 21 do rana. *„Niech pan mówi o swojej działalności szpiegowskiej. Jakich oficerów pan zna? Jakich pułkowników? Opowiadać życiorys"* I tak na okrągło. Po 6 tygodniach przewieziono go na Rakowiecką. Cela nr 55 w pawilonie 10. Tam nastąpiła konfrontacja ze Śliwińskim. *„Staszek, przebacz mi, ale ja tu nic nie jestem winien"*. Posadzono ich w jednej celi. Razem było ich tam czterech, bo siedział również siostrzeniec Wedla, Karol Whitehead oraz kapuś, pseudo-pułkownik AK, jak się później okazało, współpracownik gestapo, skazany przez podziemie na karę śmierci, a wykorzystywany ponow-

Dalszy ciąg na str. 8

Ewa Pankiewicz

LISTA NIEOBECNOŚCI

Stanisław Piotrowski, Zygmunt Latoszewski, Witold Borkowski, Bogusław Madey, Bohdan Wodiczko, Janusz Cegiełła, Henryk Czyż, Jacek Kasprzyk, Kazimierz Dejmek, Jan Maciejowski, Mikołaj Grabowski, Roman Kłosowski, Jerzy Michalak, Tadeusz Pliszkiewicz, Jerzy Przybylski, Mieczysław Voit, Barbara Horawianka, Józef Duriasz, Bogdan Baer, Ryszard Dembiński, Andrzej May, Andrzej Żarnecki, Janusz Peszek, Ryszard Sobolewski... — kolejność nazwisk nie ma tu znaczenia, jest zupełnie przypadkowa i sama w sobie niczego nie określa. Nieprzypadkowy jest natomiast ich wybór. Są to nazwiska twórców, którzy w ciągu kilku zaledwie lat odeszli z naszego miasta. Ich lista układa się zatem w listę nieobecności. Nie przypadkiem też są to nazwiska twórców z dwóch środowisk artystycznych: teatralnego i muzycznego. Te środowiska w największym stopniu decydują o obliczu kulturalnym miasta, reprezentują bowiem sztukę tzw. żywego planu, której realizacje rodzą się hic et nunc, niepowtarzalnie i jedynie przy spełnieniu wielu ściśle określonych warunków.

Nie trzeba szczególnie wybujałej fantazji, by wykreować sobie wielobarwny obraz życia kulturalnego Łodzi, jaki mógłby się zrodzić, gdyby wszyscy ci twórcy współtworzyli go w jednym czasie kilku, lub lepiej kilkunastu artystycznych sezonów, budując w ten sposób tradycję kulturalną miasta; tradycję, której rzekomym brakiem nazbyt chętnie bronimy się przed każdą próbą krytycznej oceny poziomu i rytmu życia artystycznego Łodzi. Trzeba zaś bardzo szczególnej wyobraźni i głębokiej wiary w cuda, by trwać w przekonaniu, że tradycję kulturalną miasta da się budować co rok, lub w najlepszym przypadku co kilka lat od nowa zrywami, bez koniecznej troski o jej stałe pielęgnowanie. Bez stałej obecności wielkich osobowości i wybitnych indywidualności, które by widziały w zaproszeniu do naszego miasta szansę na spełnienie własnej wielkości.

Łódź przestała dawać taką szansę. Kilkoma bardzo już odległymi latami artystycznej prosperity podpieramy się tak, jakby wciąż jeszcze trwały. Mówimy: tutaj przecież Leon Schiller, Zelwerowicz, Woszczerowicz; mówimy: tutaj Dejmek... (mniej chętnie i całkiem cichutko przyznajemy, że Dejmek odszedł stąd po raz drugi, że wcześniej Schiller... Sami siebie usiłujemy przekonać, że przecież „współpraca" że „konsultacja artystyczna"). To, że szansą jest Warszawa, wydaje się być oczywiste (choć równie oczywiste jest i to, że np. pierwszą w kraju sceną może być teatr pozawarszawski, więc pewnie mogłaby nią być i scena łódzka...); że jednak artyści nasi uciekają do Poznania, Elbląga czy Katowic, powinno nas bardziej jeszcze niepokoić. Nie ujmując niczego żadnej z tych ośrodków artystycznych musimy tu w Łodzi zastanowić się nad kwestią dla nas zasadniczą: nad tym mianowicie czy to one przyciągają naszych twórców, czy też twórcy nasi mniemają, iż w nich właśnie znajdą to, czego nie daje im Łódź. Zastanówmy się przeto, czy to nieprzerwane pasmo odejść jest sumą odejść do (Warszawy, Poznania, Elbląga...) czy... z Łodzi.

Dalszy ciąg na str. 9

CO NAS DZIELI, CO NAS ŁĄCZY?

Rozmowa z prof. dr. ZDZISŁAWEM GRZELAKIEM, członkiem KC PZPR, dyrektorem Międzyuczelnianego Instytutu Nauk Politycznych w Łodzi:

— Panie profesorze, właśnie wrócił pan z obrad IV Plenum KC. Jak pan ocenia znaczenie tego wydarzenia?

— Widziałbym je w trzech aspektach. Po pierwsze, było to potwierdzenie linii odnowy, linii IX Zjazdu. Po drugie, uznano, iż linia ta, w przełożeniu na decyzje społeczne, polityczne, gospodarcze, winna być realizowana pełniej, sprawniej. Po trzecie, plenum odbywało się w okresie wzmożonego napięcia w kraju, wzięło więc w swych decyzjach poprawkę na stan zagrożenia, co widać w uchwale.

W tym też kontekście należy rozpatrywać zmianę na stanowisku I sekretarza. Odejście tow. Kani nie jest związane z naruszeniem przez niego linii IX Zjazdu, lecz z zarzutami o brak operatywności w realizacji tej linii. Dotyczyły one także całego Biura Politycznego. Trzeba też podkreślić, że desygnacja na to stanowiska premiera Wojciecha Jaruzelskiego oznacza kontynuację przyjętej linii odnowy.

— Konferencja Łódzkiego Wojewódzkiego Zespołu Delegatów z 15.10. br. przyniosła wniosek jednego z delegatów, by ogłosić stan zagrożenia państwa, a rząd przekształcić w aparat wykonawczy partii. Dość to niepokojąca koncepcja... Niektórzy z nią właśnie kojarzą dokonane zmiany personalne.

— Istnieją rzeczywiście objawy zagrożenia bytu społecznego, zagrożenia państwa. Nie uważam natomiast, by sytuacja zmuszała nas do histerycznej, rozpaczliwej obrony. Wolałbym, by była to obrona starannie przemyślana.

Oczywiście, nie lekceważę powagi konfliktów ideologiczno-politycznych, ale mimo wszystko toczą się one w dopuszczalnych granicach. Faktem jest natomiast, że są w KC ludzie skłonni uznać bardziej katastroficzną ocenę sytuacji. Osobiście ostatni rok uważam za dowód mądrości społeczeństwa. Co prawda, były incydenty niezwykle groźne, jak choćby marsze głodowe, kiedy wystarczyłaby prowokacja, aby wywołać tragedię. Nikt wtedy nie zdołałby zapanować nad sytuacją. Świadomość tego muszą mieć wszyscy. Mój optymizm czerpię stąd, iż wyraźne są wysiłki utrzymania konfliktów wciąż wybuchających w możliwie zamkniętych ramach. Wierzę, że metody rozwiązywania napięć będą się z czasem docierać.

— Jak Pan ocenia zjawisko powrotu marazmu w szeregach partyjnych? Wydaje się, że ludziom opadły ręce...

— Przyczyną jest słaba skuteczność działań partii, a ściślej jej władz centralnych, a także, co trzeba podkreślić, świadomość, że partia jako całość nie przezwyciężyła starych nawyków. Jako usprawiedliwienie można by wysunąć fakt — chociaż jest to usprawiedliwienie pozorne — że po IX Zjeździe partia działa w znacznie trudniejszych warunkach gospodarczych i politycznych. Może to jednak tylko w pewnym stopniu tłumaczyć niekonsekwencję poczynań. Nie wolno nie przewidywać dalszego, skomplikowanego rozwoju wydarzeń i nie przygotowywać się do jego przezwyciężenia.

— O ile dobrze pamiętam treść wystąpień w czasie VIII Plenum KC w lutym 1971 roku, tam też wysuwano obiektywne trudności usprawiedliwiające stan kraju, a subiektywnych dopatrywano się jedynie w despotyzmie Gomułki. Czy nowa fala rozliczeniowa nie jest przypadkiem reakcja na to szukanie przyczyn obiektywnych...?

— Spiętrzenie trudności jest rezultatem a nie przyczyną stanu partii. Przywiązuję wielkie znaczenie do tzw. nurtu rozliczeniowego, załatwiania wszelkich spraw do końca. Jest to warunek zasadniczy ruszenia do przodu. Jak wiadomo, uchwała IV Plenum zaleca zakończenie rozliczeń do 31 grudnia, czyli skierowania spraw, bądź do sądu, bądź do prokuratora.

Dalszy ciąg na str. 3

JAPOŃCZYCY triumfują, nie tylko w konkurencji skrzypiec... Naomi Kobayashi została laureatką Złotego Medalu na IV Międzynarodowym Triennale Tkaniny Unikatowej Łódź '81 — jednym z nielicznych w świecie przeglądów tego typu (tym razem jednak bez tkaniny przemysłowej). W pierwszych ocenach podkreśla się brak nowych tendencji, nieobecność eksperymentów wykraczających poza dotychczasowe poszukiwania formalne (tak że w pracach nagrodzonych), niedostatek świeżości, rozmachu, artystycznego ryzyka... Reprezentacyjna łódzka impreza międzynarodowa niebezpiecznie klasycznieje. Krytycy proponują rozszerzenie formuły programowej, może np. przez zmianę sztywnego systemu kwalifikacji prac (obecnie zgłasza je wybrane, ograniczone grono zagranicznych krytyków-korespondentów).

„CHCĘ mieć swój udział w budowie Filharmonii Łódzkiej" — oświadczył delegacji Społecznego Komitetu Budowy PFŁ wybitny skrzypek polskiego pochodzenia (od 1946 r. w Meksyku) Henryk Szeryng — ostatnio przewodniczący jury VIII Konkursu im. Wieniawskiego. Twórca przypomniał, że jego debiut odbył się w Łodzi (w 1933 r.) i zaproponował, by właśnie ona stała się miejscem jubileuszowego koncertu z okazji 50-lecia pracy artystycznej. Przypomnijmy, że nowy, honorowy członek SKBF w Łodzi, był głównym popularyzatorem idei budowy Zamku Warszawskiego wśród Polonii południowoamerykańskiej. Zamek stanął (choć wciąż nie dokończony). Może więc i do łódzkich melomanów uśmiechnie się los?

Na razie jednak — mimo trwającej już rok walki SKBF o utrzymanie dawnej decyzji w sprawie lokalizacji przyszłej filharmonii (przy ul. Sienkiewicza i Mickiewicza) — naczelny architekt miasta inż. Jerzy Sadowski uchyla się przed koniecznym potwierdzeniem tamtej decyzji

PRZEGLĄD KULTURALNY

i nie przedstawia opinii publicznej żadnych argumentów przemawiających za zmianą lokalizacji (np. w rejon parku Źródliska). Prez. miasta J. Niewiadomski zastrzegł się ostatnio, że ostateczna decyzja zapadnie do końca października. Oby wzięto w niej pod uwagę nie tylko zdanie architektów, ale i łódzkich muzyków i przedstawicieli słuchaczy... Czekamy!

REŻYSER Grzegorz Królikiewicz pożalił się w wywiadzie dla „Głosu Robotniczego", że ze względów finansowych nie może podjąć się realizacji filmu o łódzkim lokalucie — zamknięciu zakładów i strajku łódzkich fabrykantów w odwet za rewolucję 1905 r. (która zmusiła ich do podwyżek płac robotników). Wywołało to odzew m. in. wśród łódzkich władz partyjnych i związkowych. Tworzy się klimat społecznego poparcia dla cennej — nie tylko dla łódzkiej kultury — inicjatywy. M. in. łódzkie władze przekazały pół miliona zł na prace przygotowawcze nad dokumentacją do filmu. Zaapelowano do społeczeństwa o dostarczanie przedmiotów codziennego użytku z lat 1905—10. Czy nie należałoby — z uwagi na temat i stulecie ruchu robotniczego — uznać realizację „Trenu we krwi" za jedną ze spraw priorytetowych i wesprzeć ją finansowo oraz umożliwić szybkie skierowanie do produkcji? — pyta „Głos Robotniczy", inicjator tej akcji, licząc również na zainteresowanie nią ze strony Ministerstwa Kultury i Sztuki.

W SIEDZIBIE Oddziału Łódzkiego ZLP odbyło się otwarte zebranie POP poświęcone aktualnej sytuacji i roli pisarzy w kształtowaniu rzeczywistości. W rozmowie literatów wziął udział z-ca kierownika Wydziału Kultury KC PZPR Kazimierz Molek, który zapoznał uczestników spotkania z przebiegiem i oceną IV Plenum KC PZPR.

Z ŻYCIA MŁODYCH TWÓRCÓW. Leopold Wojtkiewicz ufundował doroczną nagrodę imienia swego tragicznie zmarłego syna — poety, członka Klubu Młodych Pisarzy „Wiadukt" — Bogusława Krzysztofa Wojtkiewicza. Inicjatywę poparł OŁ ZLP. 24 października odbyło się spotkanie poetyckie poświęcone pamięci B. K. Wojtkiewicza. Nagrodę — za najciekawszy łódzki debiut w ostatnim czasie — otrzymał reżyser filmowy, poeta Ignacy Szczepański, autor wydanego w 1979 r. w serii „Debiutów" WŁ i ŁDK tomiku wierszy „Fomentum". Gratulując nagrodzonemu, żałujemy, że w opublikowanym w prasie uzasadnieniu jury nie wspomniano czy i jakie inne wydane ostatnio książki łódzkich autorów wzięto również pod uwagę przy werdykcie. Byłoby to o tyle ważne, że po okresie zastoju mieliśmy w ciągu ostatnich 2 lat szereg znaczących debiutów łódzkich poetów — z tym że wobec długotrwałej inercji Wydawnictwa Łódzkiego w tej dziedzinie, ukazały się one w Warszawie. Czyżby nie dostrzegło ich jury?..

Bez sukcesów zakończył się występ łodzianina Tomasza Bartosiaka — absolwenta łódzkiej PWSM (w klasie prof. Z. Płoszaja) na VIII Międzynarodowym Konkursie im. H. Wieniawskiego. Odpadł on w I etapie, razem z trzema innymi Polakami.

Młoda łódzka plastyczka — Ewa Latkowska-Żychska została nagrodzona jednym z 4 równorzędnych medali na II Ogólnopolskiej Wystawie Tkaniny Unikatowej, otwartej w łódzkiej PWSSP w ramach imprez towarzyszących odnotowanemu powyżej IV Triennale Tkaniny. Jury miało do wyboru ponad 70 prac.

Redaktor „Przeglądu" poleca nowe wydawnictwa z kręgu młodej sztuki: nr 11 „Integracji" — zeszytów ruchu kulturalnego i artystycznego SZSP (do nabycia w kioskach). W numerze m. in. eseje na temat kultury studenckiej, jazzu lat 70, wiersze, tekst o „Artystach i strajkujących". T. Bieszczad z łódzkiego Teatru 77 pisze o teatrze otwartym, redakcyjna sonda prezentuje stanowisko „młodego teatru wobec tradycji awangardy". Numer bogato ilustrowany. Warto również odnotować antologię „Pokolenie, które wstępuje. 1975—1980" pod red. J. Leszina-Koperskiego i A. K. Waśkiewicza, będącą podsumowaniem wzorcowej i reprezentatywnej dla młodej literatury serii poetyckiej ukazującej się pod patronatem SZSP (debiutowało w niej m. in. 4 łódzkich poetów). Ważnym wydarzeniem edytorskim jest także Almanach ruchu kulturalnego i artystycznego SZSP (1977—1980), czwarty tom dokumentacyjnego wydawnictwa poświęconego kulturze studenckiej. Na przeszło 500 stronach synteza form rozwoju tej kultury w ostatnich latach. Dobrze się stało, że wszystkie wspomniane wydawnictwa firmują SZSP i (po raz pierwszy w przypadku Almanachu) Młodzieżowa Agencja Wydawnicza. Dwie ostatnie można będzie otrzymać w księgarniach.

Moje cotygodniowe komentarze coraz bardziej zaczynają przypominać zwierzenia z kolejnych rozczarowań. Rozczarowanie to jeszcze nie błąd (błędy są nieuniknione przy opiniach formułowanych na gorąco), ale coś znacznie gorszego: stopniowe pogrążanie się w fatalizmie, w psychicznej drętwocie. A nie może być już nic gorszego, kiedy człowiek przyjmuje postawę: „i tak będzie, jak ma być, tak niewiele, albo nic nie zależy ode mnie". Taka irracjonalna zgoda na bieg wydarzeń zdaje się jakby sugerować, że swój los powierzyliśmy siłom wyższym, że gdzieś poza naszymi możliwościami scenariusz przyszłości został już w szczegółach rozpisany; nam pozostaje biernie przyglądać się jego realizacji. Jak w teatrze.

Oczywiście są to postawy wstydliwie ukrywane, tak łatwo je przecież skompromitować. Egzystują więc pośrednio: milczeniem, bezrefleksyjną aprobatą, wzruszeniem ramion, zbywaniem dnia za dniem. Czy tak myśli większość? Jeszcze nie odważyłbym się na takie twierdzenie. Ale przez siódmą skórę czuję, że następuje takie ukierunkowanie myślenia, przemożne pragnienie ratowania się za najmniejszą cenę, w imię złudnego spokoju choćby na chwilę. Jest to ucieczka do nikąd.

*

Żyjemy w totalnym kryzysie, którego nie spowodowała ani wojna, ani kataklizm natury. Nie ma zgliszcz, pożarów, trzęsienia ziemi, potopu, epidemii chorób, klęski nieurodzaju. A jednak nasza egzystencja jest zagrożona. Wiemy o tym doskonale, podobnie jesteśmy świadomi, że sami zgotowaliśmy sobie taki los. Sami?! Już słyszę głosy protestu: to nasza władza zgotowała nam taki los! Możemy nawet przyjąć, że to prawda. Uproszczona, wygodna, łatwa i chwytliwa. Ale gdyby nawet „taka prawda" stała się wspólnym mianownikiem powszechnej zgody, ten moment świadomości jest początkiem ROZCHODZENIA się naszego społeczeństwa w różne kierunki. To rozchodzenie się i łączenie na jakiś czas, trwa już od czternastu miesięcy. Ostatnio podział krystalizuje się wokół dwóch wyraźnych linii, chociaż nie brak grup i grupek kierujących się według jeszcze innych wektorów. W sumie jednak ta fatalna krystalizacja zamiast na jedynie logicznej linii porozumienia dokonuje się po przeciwnych i przeciwstawnych sobie stronach. Już nie tylko w opozycji, lecz wrogości.

*

Jestem po stronie władzy. Zawierzyłem jej, gdyż jest to władza, która bezlitośnie sama rozliczyła się ze swymi błędami i szuka dróg wyjścia, nie odtrącając niczyjej pomocy. Jest to również inna władza, nie tylko poprzez nowe przywództwo, statut, programy działania, ale przede wszystkim jako siła sprawcza idei głęboko zakorzenionej w

ODGŁOSY TYGODNIA

PRAWIE WSZYSTKO DZIELI

społeczeństwie, także gwarant stabilizacji w tej części świata. Takie wyznanie wiary można zbyć wzruszeniem ramion: znamy to, znamy... Ale, na Boga, nie ma ona żadnej sensownej alternatywy. Budowanie natomiast zamków na lodzie wydaje mi się czystym szaleństwem. Dlatego też muszę być przeciw tym wszystkim — nawet uznając tysiące ich szczegółowych racji — którzy chcą zakwestionować obiektywne prawa historycznego rozwoju. A jednocześnie podejmują próby tych działań w praktyce, za nieuniknione fiasko swych koncepcji chcą nam wszystkim wystawić rachunek.

*

Sądziłem, że stanowisko partii wyrażone na IV Plenum KC wywoła głębszą refleksję wśród przywódców „Solidarności". Myślę, że nie ja jeden liczyłem na otrzeźwienie, może nawet na jakiś zwrot w dotychczasowym, nieustępliwie konfrontacyjnym stanowisku KK i zarządów regionalnych. Nic takiego, niestety, nie nastąpiło. Odnosi się nawet wrażenie, że stanowczość partii i rządu (dodajmy, że władza wyczerpała czy nawet przekroczyła limit ustępstw), wywołuje dalsze napinanie struny. Toczy się już nie tylko walka słowna, na oświadczenia i kontroświadczenia (vide Zarząd Regionalny Ziemi Łódzkiej i Egzekutywy KŁ, KK i Komitetu RM do spraw Związków Zawodowych, rzeczników prasowych), ale cały kraj stał się jednym, wielkim ogniskiem niepokoju. Od piętnastu dni stoi Żyrardów, zajścia uliczne w Katowicach i Wrocławiu, zapowiedź środowego strajku ostrzegawczego o charakterze ogólnokrajowym. A nad tym wszystkim groźba zimy, braku węgla, przerwanie dostaw ze wsi do miasta i kolosalne trudności w zaopatrzeniu. Rodzi się wizja apokalipsy po polsku, na oczach już nie zdumionego, ale przerażonego świata. Głosy ze Wschodu i Zachodu idą jednak pod niebiosy, w drwiącą pustkę tego polskiego nieba.

*

Gdyby nie było jakiejś nadziei, człowiek musiałby się położyć do łóżka z postanowieniem, że trzeba już umierać. Prof. Z. Grzelak, członek KC partii (patrz rozmowa na str. 3) wysuwa optymistyczną tezę, że „to, co nas dzisiaj dzieli, jutro może połączyć". Jest w tej myśli na pewno racjonalne jądro pod warunkiem, że dalsze procesy zmian zachowają dialektyczny charakter, że rozum weźmie górę nad emocjami, racjonalizm nad mrzonkami. Ta możliwość jest przecież nadal szeroko otwarta, chociaż — jak do tej pory — ma raczej charakter werbalny. Dominuje jeszcze chciejstwo, jeszcze to, co głównie dzieli... Jak długo?

JERZY WAWRZAK

TYDZIEŃ W POLITYCE

Chociaż nieraz w minionym roku tak właśnie rozpoczynaliśmy tygodniowy komentarz zagraniczny — trzeba to uczynić znowu. **Znowu bowiem temat Polski urósł do czołowego** w środkach masowego przekazu w Europie i poza nią. Oczywiście powodem stało się IV Plenum KC PZPR — i z uwagi na jego przebieg, wybór W. Jaruzelskiego I sekretarzem KC, i z uwagi na przyjętą na nim programową uchwałę. Z obu tych przyczyn najczęściej w zagranicznej prasie pisało się **o możliwości zwrotu w polskim kryzysie** i stworzeniu warunków do ofensywy partii. Zaoferowane przez władze pojednanie narodowe otrzymało jasną platformę, dialog z „Solidarnością" jest dalej możliwy, ale też krajowi potrzebny jest przede wszystkim porządek i ład i zapowiedź ich przywrócenia padła z trybuny plenum. Takie akcenty dominowały w licznych komentarzach.

Końcowe dni tygodnia zwróciły uwagę zagranicznych obserwatorów na posiedzenie i decyzje KKP „Solidarności", a w tym przede wszystkim na zapowiedź strajku ostrzegawczego. W wielu artykułach ten fakt spotkał się z surową krytyką, ponieważ, jak się pisze, przeprowadzenie strajku swoimi następstwami wpycha kraj na odwrotną od oczekiwanej drogę — pogłębia destabilizację, której społeczeństwo ma już po uszy.

W dzisiejszych przeglądzie aktualiów jeszcze jeden temat polski: **wybór naszego kraju na niestałego członka Rady Bezpieczeństwa.** Kadencja jest dwuletnia i przypadnie z pewnością na okres bardzo ważny na arenie międzynarodowej. Przecież w tym czasie zdecyduje się ostatecznie, czy zbrojenia wejdą w najwyższą fazę i powstanie duże zagrożenie dla bezpieczeństwa narodów, czy też na drodze porozumień wzajemnie je ograniczających uda się przerwać błędne koło. Polska na niestałego członka wybrana została po raz czwarty, jednakże w żadnym z poprzednich okresów stopień złożoności sytuacji międzynarodowej nie był tak wysoki, jak obecnie.

Mimo naszych wewnętrznych kłopotów tam, gdzie to celowe i możliwe, **zawsze jesteśmy, aby bronić pokoju i bezpieczeństwa narodów.** Polska polityka zagraniczna jest jasna i zrozumiała dla każdego. Ceni się naszą działalność międzynarodową. Z obowiązków członka Rady Bezpieczeństwa, bardzo przecież znaczącego i operatywnego organu ONZ, wywiązywać się będziemy zgodnie z interesem pokoju. A ten wymaga dialogu, szanowania partnerów, dobrej woli i chęci porozumienia się. Wymaga też międzynarodowej praktyki, zgodnej z podjętymi zobowiązaniami.

Z wydarzeń rozgrywających się bez naszego udziału w minionym tygodniu wymienić trzeba przede wszystkim dwa: wybory w Grecji i dialog Północ — Południe.

Wyniki wyborów parlamentarnych w Grecji przyniosły zmianę ekipy rządzącej na socjalistyczną. Jest to wydarzenie dużej wagi nie tylko dlatego, że takiego rządu Grecja jeszcze nie miała, ale również dlatego, że oznacza to zapoczątkowanie poważnych reform gospodarczych i społecznych w tym kraju i zmianę jej polityki zagranicznej. Obecny premier — Andreas Papandreu (jego ojciec też był kiedyś szefem rządu) jest bowiem twórcą ruchu sprzeciwu wobec polityki, jaką prowadziły poprzednie konserwatywne rządy. Opowiada się za renegocjacjami na temat udziału jego kraju w EWG i wyjaśnieniem, jak powinny układać się stosunki Grecji w NATO. Jest też zwolennikiem (by wspomnieć o dwóch sprawach szczegółowych) mocniejszego wsparcia Greków cypryjskich i rozwiązania konstytucyjnych i terytorialnych problemów wyspy, podzielonej po inwazji tureckiej w 1974 roku oraz oficjalnego uznania Organizacji Wyzwolenia Palestyny.

Już choćby z wymienionych powodów **Stany Zjednoczone nie mogą się cieszyć z takiego wyniku wyborów greckich.** Niepokój wyraziły także Chiny, ponieważ dojście socjalistów do władzy uznały za osłabienie ważnej flanki zachodniej.

Przypomnijmy, że w niedługim czasie to już drugi przypadek, kiedy do władzy w kraju kapitalistycznym na drodze wyborów dochodzi do głosu lewica. Pierwszy — oczywiście — to powołanie socjalistycznego rządu we Francji.

W dniu, w którym wysyłamy komentarz do druku, nadeszła z meksykańskiej miejscowości Cancun wiadomość o **zakończeniu konferencji szefów 17 państw i rządów oraz 5 ministrów spraw zagranicznych**, konferencji odbytej w ramach dialogu Północ — Południe. Jednym słowem — spotkali się znów bogaci i biedni, aby dyskutować problemy nowego ładu ekonomicznego, którego oczywiście domagają się ci drudzy. Konferencja nie zakończyła się powodzeniem, to znaczy — nie uzgodniono wszystkich przewidywanych w jej porządku dziennym problemów pomocy i rozwoju. Do tematu przyjdzie nam na pewno powrócić, teraz więc tylko o jednym — o stanowisku prezydenta Reagana, który był dotychczas nie tylko przeciwnikiem zwiększonej pomocy Zachodu dla najbiedniejszych, ale i przeciwnikiem wszystkich międzynarodowych spotkań i konferencji na ten temat. Tymczasem w swoim inauguracyjnym wystąpieniu na konferencji zaprezentował się jako zwolennik rozważania tych spraw, chociaż „globalne negocjacje" uzależnił od spełnienia kilku warunków. Jednym z nich jest udzielanie pomocy i pożyczek tylko w przypadku, gdy zagwarantowany jest rozwój gospodarki wewnętrznej danego kraju, oparty na wolnej konkurencji. Dopowiadać nie trzeba.

W. SŁAWSKI

NA MARGINESIE KONFLIKTU W ZLP

Szanowny Panie Redaktorze! Po raz pierwszy zwracam się do Pana z prośbą o opublikowanie mojej skromnej notatki. Chcę dać wyraz, pewnie nie tylko mojemu, zaniepokojeniu o przyszłość łódzkiej kultury. Klinicznym niejako przykładem jest łódzki obraz środowiska literackiego. Tygodnik „Odgłosy" parokrotnie informował o zmianach strukturalnych i personalnych w Oddziale Łódzkim Związku Literatów Polskich. Szczególnie te pierwsze wzbudziły zainteresowanie społeczne. Powód zainteresowania wynika, moim zdaniem, z oryginalności koncepcji dezintegracji środowiska łódzkich literatów. Powstałe grupy „wypracowały" programy, które jako ewenement przejdą niewątpliwie do historii literatury polskiej. Z pozycji szeregowego czytelnika konstatuję, że obydwie grupy nie mają własnych wizji artystyczno-ideowych i pewnie niezłośliwie można wydedukować, że rozłam nastąpił z przyczyn pozaartystycznych. O co więc chodzi? Obawiam się, że nie o przyszłość literatury.

Profesjonalni komentatorzy społeczno-kulturalni o łódzkich wydarzeniach piszą z dystansem, ironią i jak wyczuwam protekcjonalnie pokpiwają z tej „burzy w szklance wody" („Kultura" — p. Baranowska, „Szpilki" — p. Gorzelski. Dlaczego mogą sobie na to pozwolić? Bowiem dokonania literackie ostatnich lat czołówki naszych antagonistów są mizerne. Księgarnia z witryną Wydawnictwa Łódzkiego nie należy do obleganych przez czytelników. Wpływ na to ma jej niefortunna nieco peryferyjna lokalizacja przy ul. Łąkowej, ale nie tylko.

W dobie kryzysu gospodarczego, codziennego niedostatku, rośnie temperatura każdego nawet błahego konfliktu. Dla twórców spory są zwykle pierwszorzędnym zaczynem do nowych, nawet nowatorskich produkcji intelektu. Dla czytelników owocem sporu literackiego są dzieła lub skromniej — niezłe powieści, poezje, dramaty, eseje. Obydwu stronom życzę dużo sukcesów artystycznych, a „Odgłosy" proszę o publikacje krytyczno-literackie. Może rodzi się „Skamander", a my przegapimy.

Z poważaniem
TADEUSZ GOŁYGOWSKI
Łódź, ul. Więckowskiego 80

W czasie ostatnich miesięcy na łamach prasy centralnej i łódzkich gazet ukazało się kilkanaście artykułów, listów, polemik i notatek dotyczących kontrowersji w łódzkim środowisku literackim. W „Odgłosach", poza krótkimi informacjami rzeczowymi, sprawy te zostały pominięte. Wyszliśmy bowiem z założenia, że ze względu na osobiste zaangażowanie w „konflikt" kilku członków naszego zespołu, jakakolwiek publikacja oceniająca mogłaby zostać uznana za wykorzystywanie łamów pisma dla własnych celów.

Chcemy być w tej sprawie poza podejrzeniami. List naszego Czytelnika jest okazją do potwierdzenia naszego stanowiska.

Przy okazji chcemy jednoznacznie podkreślić, że jak zawsze nasze łamy są otwarte dla wszystkich ludzi pióra, niezależnie od ich miejsca zamieszkania i przynależności organizacyjnych; literatura jest jedna — ta dobra — i jej popularyzacji chcemy służyć.

RED.

CO NAS DZIELI CO NAS ŁĄCZY?

Dalszy ciąg ze str. 1

— Ludzie chcą mieć pewność, że formuła odpowiedzialności politycznej" nie będzie oznaczała reprezentacyjnego mieszkania dla Z. Grudnia...

— Też chcę mieć tę pewność. Jednak nie można myśleć o marszu do przodu z głową ciągle odwróconą do tyłu. Obok tego nurtu musi rosnąć konstruktywny strumień naszych propozycji, choć pamiętać trzeba, że uczciwość w kwestii rozliczeń jest także wmontowywaniem w nowy kształt systemu politycznego pewnych zasad postępowania, mających wartości stymulujące w długim okresie czasu. Realia są takie, że zdecydowana wola kierownictwa i presja mas partyjnych bywa nierzadko blokowana przez tych w partii i administracji, którym przeszkadza pełne światło Wciąż trzyma się model tzw. działacza „trójprzymiotnikowego" (mierny, bierny i wierny). Walka ze strukturami hamującymi musi być prowadzona bezwzględnie. Co nie jest i nie będzie łatwe, gdyż każda rewolucja wymaga przede wszystkim rewolucji kadrowej. To co dzieje się w Polsce, jest właśnie rewolucją, a bez weryfikacji kadr żaden proces rewolucyjny nie jest w ogóle możliwy. Zachowawczość starych kadr objawia się między innymi w rozmywaniu procesu rozliczeń. Wynika to z ich filozofii i z obawy, że nowa sceneria wykaże dowodnie ich zbędność. Myślę, że los linii IX Zjazdu zależy w poważnym stopniu od rewolucji kadrowej.

— Jedną z metod, jak sądzę najważniejszych, w kształtowaniu nowego typu myślenia obywatelskiego, jest propaganda. Szczerze mówiąc, jej stan budzi nierzadko politowanie. Nie uważa pan, że tutaj w pierwszym rzędzie dokonać trzeba rewolucji kadrowej?

— Fatalny sposób działania propagandy oficjalnej wynika stąd, iż nie bierze ona zupełnie, lub tylko w niewielkim stopniu, pod uwagę czynników warunkujących myślenie ogółu społeczeństwa. Nie można ciągle twierdzić, że władza robi wszystko co możliwe, tylko ludzie nie chcą tego zauważyć, bo ludzie widzą, że władza nie robi wszystkiego, albo robi nieudolnie. Osobiście uważam, że powinno dojść do otwartej konfrontacji poglądów między partią i „Solidarnością", na przykład w wielkim bloku telewizyjnym. Wygarnijmy sobie wszystko, a społeczeństwo — sędzia najwyższy — oceni racje obu stron. Czasem wydaje mi się, że szefowie propagandy niesłusznie obawiają się takiej konfrontacji, spekulując na temat możliwych opcji społecznych. Tymczasem strusia polityka i informacja jednostronna każdej ze stron obraca się przeciwko niej samej.

— Panie profesorze, sprawa tzw. samookreślenia się członków partii — członków „Solidarności" budzi różne reakcje. Ostrą dezaprobatę wyraża np. ostatnie oświadczenie rzecznika prasowego „Solidarności". Proszę o pańską opinię.

— *„Solidarność" niejedno ma imię, nie można* sprawy upraszczać twierdząc, że związek jest jednoznacznie antysocjalistyczny. Oczywiście, istnieją grupy, raczej grupki o takich tendencjach i skłonnościach. Myślę, że uchwałę IV Plenum w tym względzie należy traktować jako dążenie do pełniejszego podkreślenia ideologicznego charakteru partii w jej odniesieniu do innych zorganizowanych sił społecznych. Rozumiem to tak: członek partii w „Solidarności" nie może być bierny, tzn. wszędzie tam, gdzie występują pewne działania czy projekty działań uderzające w pryncypia ideowe jego partii, w socjalizm, musi demonstrować swe stanowisko, a w miarę możności przeciwdziałać im. Niezależnie od tego, że atmosfera do demonstrowania partyjnego stanowiska może być nieprzychylna lub nawet wroga.

Jedną z cech charakterystycznych dyskusji w związku są, powiedziałbym, stare czasy à rebours. Teraz niedobrzy są partyjni. Zresztą nie tylko w tej kwestii związek cierpi na kalkomanię. Dlatego też członkowie partii boją się często przeciwstawiać atmosferze sali ulegającej schematom i ekscytacji. U części działaczy partii sytuacja ta przyśpieszyła decyzję o wystąpieniu ze związku. Uchwała IV Plenum nie jest w żadnym wypadku próbą antagonizowania członków „Solidarności" — członków partii, lecz próbą zmobilizowania odwagi partyjnych w sytuacjach politycznie trudnych. Nie do pomyślenia jest np. sytuacja, w której członek partii powielałby i kolportował ulotki antyradzieckie. Jestem jednak absolutnie przeciwny występowaniu członków partii z „Solidarności". Kieruję się tu wskazaniem Lenina, że komuniści powinni być wśród robotników nawet w cerkwi.

— Jeszcze pytanie, które wypływa z dotychczasowego toku naszej rozmowy. Gomułka jest autorem powiedzenia, że dogmatyzm w myśleniu politycznym wśród komunistów jest zaledwie grypą, zaś prawdziwą gruźlicą jest rewizjonizm. Czy nie sądzi pan, że jest odwrotnie?

— Niebezpieczeństwo dogmatyzmu było na ogół zbyt pomniejszane, na rzecz gróźb rewizjonistycznych, prawdziwych lub urojonych. To też jest dziedzictwo historii partii komunistycznych. Nie chodzi zresztą tylko o dogmatyzm myślenia politycznego, lecz szerzej — o dogmatyzm postaw, nawyków, sposobów działania, chęci utrzymania starych, korzystnych pozycji. Przykładem tego jest choćby wspomniany tu sposób „rozliczeń" Z. Grudnia.

Rewizjonizmu w partii nie ma, poza zupełnie sporadycznymi tendencjami. Nie stanowią one zagrożenia dla partii. Dla mnie dowodnym przykładem trwania dogmatu jest formalne nawoływanie do przywrócenia w życiu partii norm leninowskich. **Jakże można przywracać coś, czego nigdy w tej partii nie było,** poza krótkimi okresami po kryzysach, a czego z mozołem trzeba się dopiero uczyć. To hasło mówi nie tylko o kompletnej ignorancji intelektualnej, ale, co groźniejsze, o tym, że kuje się poręczny oręż w walce z przeciwnikami. Pewien jestem, że powołana przez IX Zjazd komisja dla zbadania przyczyn i uwarunkowań polskich kryzysów dojdzie do podobnego wniosku — iż dla partii sprawującej władzę w nowoczesnym społeczeństwie socjalistycznym stokroć groźniejszy jest dogmatyzm.

— Wszystko to, o czym rozmawialiśmy, składa się na pytanie o program partii zarysowany na IV Plenum.

— Przebieg i uchwała IV Plenum mogły, co zrozumiałe, jedynie przybliżyć, uściślić w głównych kierunkach ramy programowe zakreślone przez IX Zjazd. Proces wypełniania tych ram będzie towarzyszył przemianom społeczno-gospodarczym.

Plenum powołało komisję dla opracowania operacyjnego oraz długofalowego programu działania partii. Ma on prowadzić do przezwyciężenia obecnego kryzysu, wprowadzenia kraju z powrotem na tor wzrostu gospodarczego, szukania optymalnych sposobów rozwiązania zagadnień społecznych. Przy prognozowaniu muszą być brane pod uwagę różnice w sposobie widzenia naszej przyszłości przez wszystkie liczące się siły społeczne. Chodzi o wkomponowanie w ów tworzony program naturalnego pluralizmu społeczeństwa ze wszystkimi jego naturalnymi sprzecznościami, bez których zatracilibyśmy zdolności rozwojowe. Oczywisty jest też wymóg potrzeby ustanowienia instytucjonalnych gwarancji, by nigdy więcej sprzeczności naturalne nie przeradzały się w otwarte konflikty grożące nawet wojną domową.

Bardzo się cieszę, że będę mógł pracować w tej komisji. Jest to bowiem nie tylko niezwykła szansa współkształtowania wizji Polski, ale i niezmiernie cenna przygoda intelektualna.

— Jaka jest pańska wizja tego programu?

— Wyobrażam sobie ten program jako odpowiedź na sprzeczności aktualne. Widzę je w pięciu płaszczyznach.

Foto: R. Łucyszyn

ZDZISŁAW GRZELAK: „...Bez weryfikacji kadr żaden proces rewolucyjny nie jest w ogóle możliwy".

PIERWSZA dotyczy celu głównego podejmowanych działań, czyli polityki społeczno-gospodarczej.

DRUGA to sposób zorganizowania gospodarki.

TRZECIA dotyczy zmian instytucjonalnych.

CZWARTA odnosi się do stosunków Polski z zagranicą.

PIĄTĄ wreszcie, skupiającą w sobie wszystkie pozostałe nazwałbym stanem pokoju społecznego.

PŁASZCZYZNA PIERWSZA to cele — program — harmonogram. Traktuję ją optymistycznie. Ścierają się w tej formie różne poglądy tyczące dróg i sposobów pokonywania kryzysu. Mimo jednak tych różnic często antagonizujących strony, pomyślny jest fakt poniekąd zasadniczy. Mianowicie wszyscy aktorzy występujący w tej płaszczyźnie łączą się we wspólnym celu. Celem tym jest Polska dobrobytu, sprawnej i efektywnej gospodarki, sprawnej administracji, rządząca się prawem i sprawiedliwością społeczną. Przykład? Reforma cen. Wszyscy wiedzą że musi ona nastąpić, choć różnie widzą czas i sposoby. Fakt, że cel horyzontalny jest wspólny, ma kolosalne znaczenie dla organizacji działań społecznych.

PŁASZCZYZNA DRUGA ściśle jest powiązana z pierwszą. Syntetyzując, również nie widzę tu groźnych sprzeczności w długim przedziale czasu, a raczej — zbieżność w stanowiskach wszystkich stron. Ta zbieżność egzemplifikowana jest potrójnym „S". Na tej płaszczyźnie pojawiły się czasowo rafy rzeczywiste, lub sztucznie wyolbrzymione. Wiadomo, że w każdej kwestii można znaleźć punkty, z których da się ulepić wielki konflikt narodowy, gdy tymczasem niezbędny jest spokój.

Takim problemem stała się np. kwestia samorządu. Sprzeczność między poglądem partii i rządu, wyrażonym uchwałami III Plenum oraz ustawami przyjętymi przez Sejm (są one przecież wyrazem osiągniętego już kompromisu) a koncepcją „Solidarności". To samo tyczy sposobu wybierania dyrektora (walka „Solidarności" z tzw. nomenklaturą). Jeśli chodzi o samorząd ogniskujący w sobie cały szereg konfliktów można powiedzieć tak: w poglądach „Solidarności" na ten temat wyodrębniają się dwa etapy. Pierwszy, aż do wiosny br. — gdy związek wyraźnie unikał zajęcia stanowiska w tej sprawie, uważając, że za organizację gospodarki odpowiedzialna jest partia i rząd, zaś „Solidarność" nie powinna brać na siebie odpowiedzialności za niepopularne decyzje. Związek zarezerwował wtedy dla siebie funkcję generalnego kontrolera dystrybucji. Potem nastąpił zwrot akcentujący potrzebę uczestniczenia w samorządzie, a nawet w tej płaszczyźnie skupiający główną rozgrywkę z władzą (projekt SIECI).

Trzeba patrzeć na tę sprawę chłodno. Nieszczęście polega na tym, że obie strony w zacietrzewieniu kruszą kopie o problem mający zupełnie inne oblicze. Otóż w moim przekonaniu merytoryczna warstwa zasadza się na tym (obym się mylił), że rozwiązanie przy którym upiera się „Solidarność" — tzn. taka rola samorządu jaką określono w projekcie SIECI — pełna autonomia, jest rozwiązaniem niesprawnym. Dowód? We współczesnym świecie wiele jest demokratycznych państw, z których „Solidarność" czerpie wzory. Żadne z tych państw, nawet najzamożniejszych, ze świetnie funkcjonującą gospodarką i zasiedziałymi tradycjami demokratycznymi w życiu społecznym nie ma takiej formy samorządu, jakiej chce związek. Nie ma nie dlatego, że zabrakło genialnych pomysłów. Nie ma, bo ich na to nie stać! Osobiście jestem przekonany, że nasza reforma gospodarcza powinna pójść w kierunku systemu rynkowego połączonego z menadżeryzmem. Jakaś rada pracownicza do ogólnej oceny, oczywiście, ale samorząd nie tak rozbudowany. Trudno, sytuacja jest jaka jest, musimy ją po prostu przeżyć, musimy zapłacić za trudy nauki, by po trzech, czterech latach dojść do wniosku, że był to błąd. Przewiduję opadnięcie wysokiej obecnie fali nastrojów samorządowych, gdyż dobrze funkcjonujący samorząd to ciało sprawnie operujące wskaźnikami, systematyczną analizą zmiennych, słowem, solidnie przygotowane i doskonale poinformowane. Nie wierzę, by wielkim, w pełni autonomicznym samorządom, wyposażonym we władze egzekucyjna, chciało się zajmować tymi sprawami nie od wielkiego dzwonu, jak coś się wali, tylko na co dzień. Pomijam już fakt, że tak wielkie ciało nie będzie wręcz fizycznie zdolne zgrupować samych tylko ludzi biegle obeznanych z prawami gospodarczymi, a co za tym idzie — nie będzie ono zdolne do szybkich decyzji.

W związku z tym powstaje pytanie, dlaczego samorząd stał się takim wielkim problemem? W „Solidarności" są przecież stratedzy, ludzie wielkiej wiedzy o prawach funkcjonowania społeczeństwa i systemów ekonomicznych, firmujący dzisiaj walkę o samorząd. Nie posądzam ich o brak umiejętności przewidzenia kierunków, w jakich potoczy się ten proces. Myślę, że wiedzą doskonale o tym wszystkim, co powiedziałem wyżej. Moim zdaniem „konflikt samorządowy" jest im potrzebny w kontekście ambicji rozgrywania spraw układu społeczno-politycznego szerzej niż tylko w sferze gospodarczej. Konflikt samorządowy może być wstępem do szerszego konfliktu pierwszym stopniem do krytycznego zaatakowania samorządu terytorialnego, rad narodowych wreszcie roli i pozycji Sejmu.

Jedyna pozytywna cecha, jaka widzę w obecnej fazie walki o samorząd, jest jej ścisły związek z tym, co powiedziałem wcześniej. Trzeba zweryfikować stare kadry i samorząd pomoże przeprowadzić swoistą rewolucję kadrową. Za tym jestem. Natomiast nie widzę tej rozbudowanej formuły samorządu w perspektywicznym kształcie gospodarki.

Pewien optymizm, z jakim obserwuję ten problem każe mi sądzić, że owszem, zapłacimy pewną cenę za etap prób i błędów, ale w końcu dojdziemy do wniosku, że ani tych działaczy samorządowych nie jest tak wiele, ani efekty nie te. Swego czasu opracowałem studium poświęcone gospodarce jugosłowiańskiej. Wniosek był taki: Jugosłowianie chcieli na wielką skalę przyciągnąć kapitał zagraniczny, ale udało im się to tylko w niewielkim stopniu. Jedną z barier okazał się właśnie szeroki system samorządowy w gospodarce. Po prostu zainteresowane firmy zachodnie wolały się nie angażować w mozolne a konieczne uzgadnianie, konsultacje, etc. z radą samorządową przedsiębiorstwa. Czas to pieniądz i nikt nie miał ochoty marnować energii na wykłócanie się. To jest sprawa do przemyślenia.

PŁASZCZYZNA TRZECIA związana jest ze zmianami instucjonalnymi. Złe funkcjonowanie gospodarki, biurokratyzm instytucji państwa od samorządu mieszkańców aż po władze centralne, dotkliwie odczuwane przez nas wszystkich, musi ulec radykalnej zmianie. To jest jasne. Reforma instytucji nie może iść jednak w kierunku obalenia porządku politycznego. Ruch na zracjonalizowanie ich działania — tak, ale nie w stronę podważania ustroju. Nawiązując do samorządu chcę powiedzieć, że „Solidarnościowy" projekt Społecznej Rady Gospodarki Narodowej jest sygnałem tych niebezpiecznych kierunków. Inny projekt rady mieści się w rządowych propozycjach reformy gospodarczej. W nich rada ma charakter ciała niezależnego, o dowolnie ustalonym składzie, doradczego, konsultatywnego, z którego głosem rząd obowiązany jest liczyć się. Nie ma ona jednak żadnych uprawnień władczych, to bowiem oznaczałoby dwuwładzę, z możliwością sparaliżowania państwa.

Obserwowałem wiele lat działanie takiej rady przy parlamencie francuskim. W części jest ona wybierana, w części zaś nominowana spośród przedstawicieli różnych organizacji i spełnia bardzo cenną rolę. Nie ma żadnych uprawnień egzekucyjnych. Projektowana rada może bardzo krytycznie oceniać posunięcia aparatu wykonawczego, może nawet, uzyskując społeczne poparcie dla swego stanowiska, doprowadzić do upadku nieudolnego rządu (na drodze konstytucyjnej). Ale nie może ona rządu zastępować, jak to ma miejsce w projekcie „Solidarności". Żadne państwo, a tym bardziej tak chore jak nasze, nie wytrzyma dwuwładzy. W każdym jednak systemie czy instytucji musi istnieć jeden taki, któremu płacą za mówienie prawdy, całej prawdy i tylko prawdy. Tym powinna być ta rada.

PŁASZCZYZNA CZWARTA. Uwarunkowania zewnętrzne, to następna sfera sprzeczności, a zarazem sfera koniecznych zmian. O pryncypiach politycznych nie ma co tutaj się rozwodzić. Są niepodważalne i dyskusji nie podlegają. Nasze jednak stosunki gospodarcze ze światem, do niedawna temat tabu (choćby w zakresie opłacalności handlu zagranicznego, operacji finansowych, zadłużenia gospodarki, itp.) zarówno, gdy chodzi o Wschód i o Zachód, koniecznie trzeba odblokować informacyjnie. Ma to dwojakie znaczenie. Po pierwsze — rzetelna informacja jest absolutnie niezbędna w prowadzeniu efektywnej działalności gospodarczej. Po drugie — nic tak nie burzy wzajemnego zaufania między narodami, jak niejasności, tajemnice, czy przemilczenia. Konieczne jest w związku z tym, by rząd spełnił swe zobowiązanie rychłego przedstawienia Sejmowi aktów dotyczących sprecyzowania, co podlega ochronie jako tajemnica państwowa, gospodarcza i wojskowa.

Trzeba też, niestety, dodać, że rozwiązania tyczące naszych stosunków międzynarodowych są w przygotowywanej reformie gospodarczej częścią najbardziej zaniedbaną.

PŁASZCZYZNA PIĄTA. Nazwałem ją stanem pokoju społecznego, mówiąc o tym, że zawiera w sobie wszystkie poprzednie, zachowując względną autonomię.

— Dlaczego stan pokoju?

— Odpowiem paradoksem: na tej płaszczyźnie powinien zawsze trwać pewien... niepokój społeczny, będący uzewnętrznieniem obiektywnych sprzeczności, występowaniem ścierających się różnych poglądów, czyli objawem zdrowia społeczeństwa. Niepokój staje się stymulatorem rozwoju, bodźcem dla doskonalenia wszystkich czterech płaszczyzn. W tym ujęciu niepokój jest stanem pokoju społecznego!

W materializmie historycznym nazywa się to **walką sprzeczności nieantagonistycznych.** Problem w tym, by ten niepokój nie przeradzał się w konflikt destrukcyjny. Zależy to w równej mierze od kultury politycznej rządzących, jak i rządzonych. Sprzeczności muszą być wliczane w działania obu stron. Konflikt rodzi się dopiero wówczas, gdy strony mają wobec siebie nawzajem poczucie własnego zagrożenia, rzeczywistego, lub — co gorsza — urojonego. Przykładem niech będzie taki schemat: władza czuje się zagrożona na swych pozycjach społecznym ruchem samorządowym, zaś społeczeństwo czuje zagrożenie swych interesów projektami podwyżek cen.

Obecnie mamy do czynienia ze stanem zagrożenia realnym, gdyż brak jest elementarnej równowagi między stronami, które wykonawszy zbyt wiele nie przemyślanych posunięć usiłują teraz wycofać się z zaułka z twarzą. Trzeciej siły — siły rozjemczej, nie ma. Musimy liczyć na siebie wzajemnie. Przekonany jednak jestem, że nie jest to próżna rachuba. Roczne doświadczenie wskazuje, że poczęty proces zmian chroniony jest powszechną wolą zachowania w Polsce ustroju socjalistycznego. Słowem, dzieli nas wiele dzisiaj, ale łączy wszystko „na jutro".

Rozmawiała: JOLANTA WROŃSKA

O TYM SIĘ MÓWI. CO O TYM SĄDZISZ?

Fabryka produkuje, sklep sprzedaje, rolnik orze, krawiec szyje ubrania — tak jest w porządku.

Fabryka sprzedaje, sklep jest pusty, rolnik biega po węgiel, krawiec nie ma materiału — tak nie jest w porządku.

MAREK MILLER

RATUJ SIĘ KTO MOŻE?

Foto: R. Łucyszyn

„Wifama" to duży zakład przemysłowy. Mógłby wysłać zatem pięć „Starów" na wieś, po odpowiedniej cenie kupić świniaki i przywieźć je do miasta. W halach można by zrobić jatki. Wśród chłoporobotników są tam bowiem tacy, którzy mają rzeźnicze uprawnienia. Byłoby mięso dla załogi? Byłoby. Szpital im. Kopernika miałby już jednak pewne kłopoty. Z braku chirurgów trzeba by wybierać, albo pacjentów, albo mięso. A szkoła podstawowa? Ci już z pewnością by sobie nie poradzili.

Kiosk zakładowy. Idea była taka — porcje śniadaniowe. Dzisiaj porcji śniadaniowych nie ma w ogóle. Ale w tych kioskach można by: mięso, szampony, watę, buty, skarpetki, kolorowe telewizory? A jakie pole do popisu? Dla Komitetu Zakładowego PZPR, dla Komisji NSZZ, dla branżowców? Wiele komisji zakładowych idzie na ten numer. Jak przyjdzie zmęczona, spłakana kobieta, to nie dasz? Oczywiście, że dam. Niech przynajmniej ona jedna ma, jak nie mogą mieć wszystkie. Ja też bym dał. To się przecież nie wzięło od dzisiaj. Świat jest brutalny. Jak nie pomyślisz sam o sobie, to kto o tobie pomyśli? **Umiejętność dawania sobie rady na przekór wszystkim przeciwnościom jest przecież naszą cechą narodową.** Czterdzieści lat na to pracowało. Jak to teraz odwrócić?

Zakazać wszystkim komisjom „Solidarności" rozprowadzać w zakładach towary! Ale jak to wyegzekwować? Jakie sankcje nałożyć? Nie można zakazać tego, co jest naturalne, co jest zdrową reakcją samoobrony. Nie można człowiekowi odmówić prawa do jego prywatnego interesu. Nie można, bo wtedy ludzie zwrócą się przeciwko nam.

Oj, łatwo być popularnym i pozyskać poklask załogi. Łatwo przynieść butelkę szamponu i wcisnąć kobiecie w rękę. Dyrektor nie może, a my możemy. Dyrektor zresztą już nic nie może. Teraz wszystko z nami trzeba. Czy komuś nie zależy czasami na takim właśnie myśleniu? Rozbić, podzielić, zatomizować. Niech się zajmują pasztetem, szamponem, niech się rozmieniają na drobne. Nie zazdroszczę komisjom zakładowym w Łódzkich Zakładach Mięsnych. Mogą kupić każdego, kogo tylko zechcą. Oj, trzeba uważać, bo zaczynają funkcjonować metody znane nam skądinąd.

MPK ma kilka filii, część tych filii posiada kioski, część nie. Zajezdnia na Brusie na przykład nie posiada. Więc ona nie dostanie wywalczonych towarów. Będą się żarli, kłócili, dopominali. I o to chodzi. Jeszcze krok, a nastąpi otwarty konflikt pomiędzy samorządem robotniczym a „Solidarnością". Ci będą chcieli produkować, tamci reglamentować. Tak będzie, bo kiosk pełen towarów na terenie fabryki to wieczny konflikt — stanie w godzinach pracy. Produkcja czy kaszanka? Wieczny bałagan, wieczny cichy, nie kontrolowany „strajk".

Na szczeblu zakładu można wiele załatwić. Ale na szczeblu regionu? Piotrków? Tomaszów? — pewnie sobie załatwią. Na jak długo — pytam. Na tydzień? Na miesiąc? A potem znowu od początku? Łódź już próbowała, no i co? To także może być taktyka. W prasie, radiu i telewizji oplują, że w swoją stronę ciągną przykrótką kołdrę, że strajkiem zmuszają władze do podwyższenia dostaw. A może o to chodzi? Przecież do tych protestów, świadomie czy nieświadomie, zapisują się również branżowcy i komitety. Kto jednak w rezultacie wygra? Łódź czy Wybrzeże? Łódź czy Śląsk Łódź czy Warszawa?

Może by tak jednak jechać do chłopów na wieś? Dogadać się co do ceny i nie czekać na administrację, a mięso popłynie? A jak nie — to chłoporobotników do taczki i precz z zakładów. Z pałami na samochody i rekwirować świnie. Jeśli sami nie chcą sprzedawać! Kontraktować przymusowo, bo chamy chcą się tylko bogacić. **Przestrzegałbym przed takim rozumowaniem, które już, tu i ówdzie, w zaślepieniu i głupocie (nie chcę nawet myśleć, że są to świadome działania), zaczyna się pojawiać.** Bo cóż to znaczy dogadać się co do ceny? Znaczy to po prostu po cichu zgodzić się na podwyżkę cen mięsa. Czyż nie tak? A jeżeli się już zgodzić na podwyżkę mięsa, to nie rozsądniej centralnie — w trakcie rozmów „Solidarności" z rządem. A wtedy pojawia się nie tylko szansa na mięso, ale i na rekompensatę. Bo to przecież mamy zagwarantowane.

Polityka polityką, ale na halach powinno być mięso. I jak ktoś ma pieniądze, to nie można mu zabronić wydać na to, na co chce. Jeszcze do niedawna, jeśli ktoś miał

ZWIĄZKI ZAWODOWE

ZASIĄŚĆ DO WSPÓLNEGO STOŁU!

Rozmowa z TADEUSZEM BANASIAKIEM przewodniczącym ZG NSZZ Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego

— Uczestniczył pan w obradach I Ogólnopolskiego Zgromadzenia Przedstawicieli Branżowych Związków Zawodowych. Proszę powiedzieć, czym było dla waszych członków to zgromadzenie i jakie zapadły w czasie jego trwania decyzje?

— Zgromadzenie zadecydowało o przyszłym kształcie i organizacji ruchu branżowego w Polsce. Przedstawiciele poszczególnych związków branżowych wypowiedzieli się w sprawie statutu, programu, założeń ideowych oraz wyboru władz w samej komisji. To było bardzo ważne. Zgodnie bowiem ze statutem władza w komisji jest rotacyjna i trwa pół roku. Ostatnio funkcję przewodniczącego pełnił Albin Szyszka. Właściwie źle powiedziałem, to nie jest władza, jest to przedstawicielstwo ruchu branżowego. Jest to władza dla samej komisji, natomiast nie dla poszczególnych związków zawodowych. Obecnie przeszliśmy z formy porozumienia na płaszczyznę współpracy poszczególnych związków. W tej formie upatrujemy dalszą konsolidację i jedność ruchu branżowego; zachowuje ona, zgodnie ze statutem, samorządność i niezależność poszczególnych związków branżowych.

— Kto wszedł w skład nowego zgromadzenia?

— Przewodniczącym Ogólnopolskiej Komisji Współpracy Branżowych Związków Zawodowych został EUGENIUSZ MIELNICKI, przedstawiciel Zw. Zaw. Energetyków. Ponadto wybrano czterech wiceprzewodniczących: Leona Grycuka z ZZ Prac. Rolnych, Romana Górskiego z ZZ Prac. Gospod. Komunalnej i Terenowej, Andrzeja Kozłowskiego z ZZ Metalowców i Krystynę Krzekotowską z ZZ Prac. Państw. i Społecznych. Nie od rzeczy będzie toczyć w tym miejscu wypowiedź nowego przewodniczącego w której zawarł on jakby program działania naszych związków: „Uznaję kierowniczą rolę partii. Jednak jeżeli ruch zawodowy uznaje kierowniczą rolę partii, to ma prawo zgłaszania swoich wniosków do partii i wspierania jej. Uważam, że w każdym systemie ruch zawodowy będzie w opozycji wobec administracji. Dlatego nie wystarczy głosić hasło, że związki zawodowe są partnerem rządu, jak czyni to wicepremier Rakowski. W kraju socjalistycznym rząd i administracja powinny być na usługach społeczeństwa, a partia i rząd powinny zabiegać o to, by przypodobać się związkom". To wystąpienie znalazło pełne poparcie wśród delegatów.

— Obrady zgromadzenia zostały zakończone, czas na konkretne działanie. Od czego zaczynacie?

Od narad z aktywem w całym kraju. Bowiem trzy sprawy są nowe: statut, nazwa oraz zapis umieszczony w statucie mówiący o powołaniu komisji współpracy w terenie. Dziś zastanawiamy się w jakich ramach i na jakich zasadach te komisje mają pracować dla dobra swoich członków. Ponadto jest tyle problemów, tyle aktów normatywnych do załatwienia...

— Pytałem o konkrety...

— Proszę bardzo. Naród od dawna żyje czekającymi nań podwyżkami cen. Dziś jesteśmy już w posiadaniu słynnej broszurki pana ministra Krasińskiego. Po szerokiej konsultacji nasz związek zajmie w tej sprawie zdecydowane stanowisko, bowiem po przejrzeniu zawartych w tej broszurce propozycji, prawie każdy zastanawia się, jak będzie żyć. Przyznam się, że czyta się ten dokument jak niedobry kryminał. Nas obowiązuje uchwała naszego plenum mówiąca o rekompensacie kwotowej, a nie rekompensatach cząstkowych czy procentowych. Zmierzamy więc do tego, aby była ta rekompensata jednakowa we wszystkich zakładach pracy, i żeby uwzględniała także zasiłki rodzinne, które muszą być wyższe, powiększone o część rekompensaty. Przecież może się zdarzyć, że z tytułu wielkości rodziny, ludzie na tych samych stanowiskach pracy będą mieli różne wysokości rekompensat. Toteż zbieramy opinie, prowadzimy w tym kierunku badania poprzez nasz ośrodek badawczy, który przelicza koszty utrzymania na podstawie cen obowiązujących i pod ten stary koszyk dóbr podstawimy proponowane ceny. Wówczas będziemy wiedzieć jak winna przebiegać sprawa rekompensat.

— Panie przewodniczący, Klub Poselski PZPR zamierza podjąć w Sejmie inicjatywę zmierzającą do czasowego zawieszenia prawa do strajku. Jakie jest wasze, mam na myśli związek, stanowisko w tej sprawie?

— Słowo „strajk" robi w Polsce karierę. Ale ja znam inne sposoby uzyskania tego, co inni uzyskują wywołując strajk. Uważam, że jednym z najbardziej humanitarnych, ludzkich praw jest prawo do pracy. My, jako związek, musimy ludziom tę pracę zapewnić. Czasami nie chcemy strajkować, ale musimy, gdyż w inny sposób nie możemy osiągnąć swoich oczywistych racji. Jednakże wolałbym, byśmy nie uciekali się do takiej siły. I tu widzę rolę związków zawodowych, jako organizacji, która winna używać takich argumentów i tak władzę przekonywać, by osiągnąć swoje i do strajku nie dopuścić.

— No dobrze, ale jeśli w zakładzie strajk ogłasza „Solidarność"? Jak wówczas mają zachować się członkowie związku branżowego?

— W zakładzie pracy nie można dzielić ludzi ze względu na ich przynależność związkową. Przecież jest tam zazwyczaj jakaś konkretna sprawa która tej załogi dotyczy. Następuje wówczas ogólne solidaryzowanie się pracowników, walka o wspólny cel. Weźmy ostatni przykład z Żyrardowa. Przecież tam m. in. nasi działacze wchodzą w skład komitetu strajkowego i walczą o lepsze zaopatrzenie dla całego miasta. Natomiast ostro odcinamy się od wszelkich strajków o podłożu politycznym. Z reguły nasi związkowcy w takich strajkach udziału nie biorą — nie tędy droga. Przecież nasz rząd jest rządem socjalistycznym i absurdem jest posądzanie go o działanie przeciwko własnemu narodowi.

— Chciałbym nawiązać do współpracy z innymi związkami. Dziś nie można twierdzić, że każdy ze związków ma swoje, sobie tylko właściwe sprawy. Sądzę, że więcej was łączy niźli dzieli...

— Moje zdanie jest takie: wszystkie związki winny zasiąść do wspólnego stołu i zastanowić się, jak wyprowadzić kraj z kryzysu. Zresztą znalazło to odbicie w naszej pierwszej uchwale w sprawie powołania komisji mieszanej. Stwierdza się tam, że pierwszym krokiem do rozwiązania dramatycznej sytuacji w kraju jest natychmiastowe podjęcie prac tej komisji z udziałem przedstawicieli rządu i związków zawodowych oraz przedstawicieli poszczególnych organizacji społeczno-politycznych. Tylko takim wspólnym działaniem wszystkich sił patriotycznych narodu możemy powstrzymać zagrożenie naszego istnienia. Odrzuciliśmy kategorycznie wszelkie rozgrywki polityczne, wszelki szantaż i partykularyzmy grupowe. Bowiem ponad wszelkie różnice łączy nas los narodu. My jesteśmy otwarci i będziemy rozmawiać z każdym, komu droga jest Ojczyzna.

— Wspomniał pan o innych uchwałach. Czy mógłby pan omówić te bardziej ważkie i istotne?

— Było ich wiele, a na komentarz do każdej z nich nie starczyłoby nam czasu. Może więc wspomnę jedynie, że podjęto uchwały w sprawie: zdrowia społeczeństwa i poprawy warunków pracy; budownictwa mieszkaniowego w Polsce; zaspokajania potrzeb kulturalnych społeczeństwa; walk ludzi pracy o pokój w Europie i na świecie; rolnictwa; praworządności; związków zawodowych; ochrony członków i działaczy związkowych ruchu branżowego oraz o godności pracy i sprawiedliwej płacy. Warto też wspomnieć o „Liście do kobiet polskich", w którym złożyliśmy wszystkim polskim kobietom hołd za ich pracę, za ich godność, za troskę o losy naszych dzieci i za to, że w tych trudnych miesiącach w poważnej części przejęły na siebie ciężar odpowiedzialności za przetrwanie i za egzystencję rodzin.

Skoro mówimy o kobietach: nasz związek był pierwszym, który zlikwidował pracę kobiet w wolne soboty. Obecnie staramy się o zlikwidowanie III zmiany. Dla kobiet mamy oddziały pracy chronionej, cały system opieki medycznej, której do niedawna przemysł lekki był całkowicie pozbawiony, mamy system dożywiania, wypoczynku lecznictwo sanatoryjne, żłobki i przedszkola przyzakładowe. Chodzi ciągle o to, by włókniarka która ma tak wysoki stopień aktywności zawodowej, mogła łączyć pracę zawodową z praca nad wychowaniem dzieci. Stąd też nasze działania, które przyczyniły się do wprowadzenia zasiłków wychowawczych, stąd nasze zabiegi o trzyletnie płatne urlopy dla matek opiekujących się nowo narodzonymi dziećmi...

Foto: R. Łucyszyn

TADEUSZ BANASIAK: „W kraju socjalistycznym rząd i administracja powinny być na usługach społeczeństwa, a partia i rząd powinny zabiegać o to, by podobać się związkom".

pieniądze, to mógł jechać na wieś i kupić sobie pół świniaka. A teraz nie może, bo jak go złapie patrol milicji, to będzie uważany za spekulanta.

Rzeczy mają swoją obiektywną wartość — tę wartość powinien wyznaczać zakład pracy, a nie sytuacja. Nie może być tu relatywizmu, bo prowadzi to do chaosu. Kto mógł kupować w halach, to kupował, ale inni tylko patrzyli. Jakaż to sprawiedliwość?

„Solidarność" zmuszona jest przez czynnikowskie doły do zajmowania się dystrybucją towarów. Zmuszona jest również przez niewydolną administrację. Puste sklepy. Bezczynnie siedzący sprzedawcy. Naczelnicy wydziałów i ich zastępcy, WPHW, PSS, Urząd Miasta. Cała ta sparaliżowana machina. To ona powołana jest do dystrybucji towarów a nie związek. To ona ma „wysoko wykwalifikowaną kadrę fachowców", środki łączności, transport. **Odwrócenie relacji jest paranoją i nie można do niej dopuścić.** Nie znaczy to jednak by związek nie miał kontrolować machiny. Powiem więcej, na jakiś przejściowy okres czasu Związek powinien jej pomagać. Powinien to robić m.in. dlatego, aby poznać jej mechanizm, nabyć wiedzy, której do tej pory nie ma. Jaki przydział żywności otrzymuje Łódź? Dlaczego właśnie taki? Jak to wygląda w porównaniu do innych miast? Skąd idzie ta żywność i do kogo trafia? Gdzie są punkty węzłowe systemu? Kto za co odpowiada i jakie ma kompetencje? Ile mamy na dziś żywności i ile na przyszły miesiąc? Kiedy konkretnie można się spodziewać poprawy i od czego to zależy? Na ile jesteśmy uzależnieni od centralnego rozdzielnika, a na ile jako region możemy rozwijać własne inicjatywy? I tak dalej, i tak dalej. Wszyscy pamiętamy aferę z mlekiem. Wiemy, jak trudno było ją rozwikłać, ile było w niej sprzecznych danych i niejasności.

Ekonomia nie może być czarną magią. Wiedza o niej nie może być mafijna i zastrzeżona tylko dla grona wybrańców, którzy będą jej używać dla własnych, nie kontrolowanych interesów. Ta wiedza jest konieczna zw. zawodowym. Ta wiedza jest również niezbędna całemu społeczeństwu.

Nie zajmować się więc dystrybucją, ale pomagać w niej. Przynajmniej na okres przejściowy. Co to praktycznie znaczy? Jeżeli już wiemy, co jako region, bez szkody dla innych regionów kraju, możemy załatwić z własnej inicjatywy — to załatwiajmy. Trzydzieści procent zakładów rzemieślniczych Łodzi przestawiło się na produkcję dla rolnictwa. Rolnik spod Zduńskiej Woli przywiózł sto świń. Nie chce pieniędzy, chce za to maszyny: brony, przetrząsarki itp. Na punktach skupu pusto, a tu rzeka mięsa. Łódź mogłaby mieć tę rzekę mięsa, gdyby rzemieślnicy mieli surowce. Surowców nie ma, ale tylko pozornie. W zakładowych magazynach i schowkach zalegają chomikowane latami materiały. Na złom wywożone są rzeczy, które z powodzeniem można jeszcze wykorzystać. I znów Bomis jest bezradny, administracja jest bezradna. Ale komisje zakładowe? — ludzie wiedzą co się marnuje. Centralnie problem nie do załatwienia. Pojedynczo, gdzie każdy będzie miał swój interes, sprawę można „przepchnąć". Wszyscy ślusarze zakładowi, po godzinach pracy, mogą działać w prywatnym sektorze. Jest to już prawnie możliwe. Jeden ze ślusarzy zakładów im. Strzelczyka produkuje w ten sposób brony. Kilka takich interesów z setką świń, a jest 50-procentowe pokrycie na kartki w Łodzi. Zakłady Polmo i Elta zgłosiły już do rzemieślników, że każdorazowy wywóz materiałów na złom będzie z nimi konsultowany. Wszystkie te idee nie są nowe, ale dziś można by je rzeczywiście zrealizować. Ale znów nie na własną rękę. Nie każdy sobie, ale przez wspólną komisję złożoną z „Solidarności Wiejskiej", Rzemieślniczej i Robotniczej. Komisję działającą dla całego regionu. Są przecież w „Solidarności" etatowi pracownicy i za to im związkowcy płacą, aby zajmowali się tym, co ważne.

Powolutku, powolutku. Rozmowy z rządem w sprawie żywności. Porządek z kartkami, bo ciągle panuje tu bałagan. (Czy nie można ich w końcu ponumerować i komisyjnie rozliczać?) Sprawiedliwie reglamentować. Wszyscy mają przecież te same żołądki. **I choćby zęby w ścianę, nie dać się sprowokować, nie dać się podzielić.** Załatwiać rzeczy tylko naprawdę ważne i istotne: reforma, żeby była prawdziwa, a nie pozorna, samorząd, żeby był autentyczny, Związek zwarty i zdyscyplinowany, a wtedy są warunki, ażeby zrobić coś naprawdę. Raz a dobrze, raz a konsekwentnie. A więc nie ratuj się kto może — a może wtedy uratujemy się wszyscy.

— Wiem, że czynicie starania o likwidację III zmiany i wiem także, że nie tylko resort nie chce wyrazić na to zgody...

— Tak, to prawda. Nie wszystkie kobiety chcą z tego dobrodziejstwa skorzystać. Ich racje są proste: po pierwsze — na III zmianie są wyższe zarobki, po drugie — z reguły tak się planuje, by jedno z małżonków zawsze było w domu: jeśli mąż pracuje na pierwszej zmianie, to żona na trzeciej itp. Decyduje o tym sprawa opieki nad dziećmi i domem.

— O ile się orientuję, czeka na załatwienie w kolejce co najmniej kilka tysięcy postulatów pracowniczych. Pojawiają się nowe. I każdy z nich jest ważny, każdy wymaga oddzielnego potraktowania. Jak je segregujecie, którym nadajecie priorytet, a które po prostu zostawiacie nie załatwione?

— Zdziwi się pan, ale my realizujemy wszystkie postulaty pilnie bacząc by któregoś nie przeoczyć. Postulat nie załatwiony dziś i tak powróci do nas po latach i stanie się wyrzutem dla naszego związkowego i ludzkiego sumienia.

Na dzień dzisiejszy mamy do załatwienia trzy ważne sprawy: po pierwsze — układ zbiorowy pracy, który winien ulec wielkiej modyfikacji i być dostosowany do aktualnych potrzeb i możliwości, po drugie — system wynagrodzenia, który winien być generalnie przejrzany i zmieniony. Uważamy, że płaca winna ściśle wiązać się z pracą. Dziś płaca została potraktowana na zasadzie urawniłowki. A to przecież krzywdzi tych, którzy rzetelnie pracują. Otóż uważamy, iż należy wprowadzić taki system pracy i płacy, który usatysfakcjonuje ludzi pracujących uczciwie. Gdyby przyjrzał się pan tzw. „paskowi" włókniarki, ujrzałby pan tam tyle różnych rubryk, tyle notowań finansowych, że zapewniam, nic by pan z tego nie pojął. Myślę, że sama zainteresowana nie bardzo wie po co to wszystko, skoro na końcu i tak jest jedna suma. Otóż w niektórych zakładach, tytułem eksperymentu, wprowadzamy pewne działanie, by ten cały system usprawnić, by człowiek otrzymywał płacę za konkretną robotę. Ale o tym jeszcze za wcześnie mówić.

Trzecia sprawa — to czas pracy. Ta sprawa jest także w centrum naszego zainteresowania. Wszyscy mówią o reformie, natomiast najmniej wiedzą o niej ci, których ona dotknie bezpośrednio. Dzisiaj nikt nie wie ilu ludzi zostanie nią objętych, kogo trzeba będzie zwolnić, kogo przekwalifikować. Toteż uczulamy nasze rady zakładowe na tę sprawę, przestrzegamy przed pochopnością, chcemy by do każdego podchodzono indywidualnie.

— Ostatnie pytanie: za dwa miesiące wejdzie w życie ustawa o samorządzie. Jakie postulaty wysuwaliście pod adresem jej inicjatorów?

— Chodziło o to, by ustawa była zgodna z art. 13 Konstytucji PRL; ponadto uznaliśmy za potrzebny powrót do zapisów ustawy o Radach Robotniczych z 1956 r., które przecież sprawdziły się w praktyce, a także doświadczeń Rad Fabrycznych i Załogowych, które tak dobrze działały tuż po wyzwoleniu. Zarząd Główny uznał potrzebę rozgraniczenia funkcji i podziału kompetencji między organizacjami związkowymi, a organami samorządu pracowniczego. Np. istotny jest tu obowiązek uzgadniania z organizacjami związkowymi decyzji wchodzących w zakres zainteresowania związków zawodowych. Uważamy, że pominięta została sprawa ochrony stosunku pracy członków organów samorządu pracowniczego.

Wszystkie nasze uwagi w tej sprawie przekazaliśmy do byłej Komisji Porozumiewawczej Branżowych Zw. Zawodowych oraz do odpowiedniej komisji sejmowej. Jak wiemy, nasze postulaty w znacznej części znalazły odbicie w ustawie podjętej przez Sejm.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
EUGENIUSZ IWANICKI

EDMUND LEWANDOWSKI

(2)

DIALEKTYKA DOBRA I ZŁA

Kolejny problem wymagający rozstrzygnięcia jest następujący: co jest głównie siedliskiem zła — natura ludzka, czy też ustroje społeczne? Jeśli człowiek z natury jest zły, jak niektórzy sądzą, to wszelkie próby urzeczywistnienia szczęśliwych systemów skazane są na niepowodzenie. Prób takich było dotąd sporo w historii i trzeba przyznać, że wszystkie piękne idee zawiodły i nie zdały egzaminu w praktyce. Stąd też można słyszeć niekiedy, że idee są po to, aby było za co umierać, a nie do realizacji. Dobrym przykładem, jak szlachetna idea ulega wypaczeniu i rozmija się z rzeczywistością, jest *„złoty wiek"* (XIII) triumfującego *chrześcijaństwa*. Pisarka katolicka, *Ewa Szelburg-Zarembina*, tak go plastycznie opisuje: *„Złoty od chwały zwycięstw „podwójnego miecza". Czerwony i czarny — też. Czerwony — krwią przelewaną, krwawym wstydem gorszonej ponad miarę społeczności chrześcijańskiej. Czarny — od symonii, lenistwa, ciemnoty, lekceważenia przez duchowieństwo — przez wielką liczbę duchowieństwa — obowiązek kapłańskiego stanu. Zło tak już rosło, tak przybierało na sile, że sam papież stwierdził, iż „potrzeba ognia i żelaza, aby je uleczyć"*. Autorka trafnie wskazuje na współistnienie zupełnie skrajnych zachowań — dobrych i złych. Ludzie walczyli o wszystko: koronę, tiarę, kapelusz kardynalski, niewolników, złoto, relikwie — włączając w te brudne interesy świat pozaziemski. Potrafili łączyć i godzić wielką religijność z najgorszym barbarzyństwem. W liście do *Henryka Sienkiewicza* z 1907 roku, *Lew Tołstoj* ubolewał: *„W świecie pogańskim mógł być cnotliwy władca — Marek Aureliusz, ale w naszym chrześcijańskim świecie nawet władcy minionych wieków — wszystkie francuskie Ludwiki i Napoleony, wszystkie nasze Katarzyny Drugie i Mikołaje I, wszystkie Fryderyki, Henryki i Elżbiety, niemieckie i angielskie — mimo wszelkich starań ich chwalców nie mogą w naszych czasach budzić niczego prócz obrzydzenia"*. Czy to znaczy, że chrześcijaństwo poniosło porażkę i nie odegrało pozytywnej roli w dziele naprawy świata? Wniosek taki byłby niesłuszny, gdyż pewien postęp miał miejsce. Historia Kościoła pokazuje jednak *słabość ideałów* religijnomoralnych w konfrontacji z naturą ludzką oraz potrzebami i interesami. Przekonali się o tym również komuniści.

Dotychczasowe negatywne doświadczenie w realizacji wielkich idei religijnych, społecznych, politycznych i gospodarczych skłoniły *Jana Szczepańskiego* do wniosku („Kultura 1981, nr 2), że wszyscy rewolucjoniści i reformatorzy chyba mylili się zakładając, że możliwe jest doskonalenie świata drogą urzeczywistniania wspaniałych wizji i planów *„Trzeba więc zgodzić się z zasadami dialektyki* — pisze profesor — *i stwierdzić, że każda idea, stając się siłą społeczną, rodzi swoje antysiły, a ze starcia między nimi powstaje tyle zła, że przesłania ono zupełnie oczekiwane dobro"*. Do podobnej konkluzji doszedł bohater powieści *Mika Waltari „Egipcjanin Sinhue"*. Po nieudanej rewolucji *Enchnatona* mówi on, że świat, który sobie wymarzył faraon *„może istnieć tylko w kraju na Zachodzie"* (tzn. życiu pozagrobowym), a *„to co jest wieczne, można narzucić zwykłym ludziom tylko gwałtem"*. Próba zbudowania ustroju sprawiedliwości społecznej zakończyła się kryzysem gospodarczym, głodem i powszechnym niezadowoleniem. A pierwszy w historii rewolucjonista i zbawca ludzkości umierał samotny i rozgoryczony, znienawidzony przez poddanych.

Zdaniem *J. Szczepańskiego* źródło trwałości zła znajduje się w tym, co jest — w poszczególnych osobach i całych grupach — *„zbiorowe, społeczne, wspólne"*. W celu ograniczenia zła nie należy jednak oddziaływać przede wszystkim na zewnętrzny świat i rzeczy, jak dotąd czyniono, lecz trzeba głównie zająć się światem wewnętrznym. Autor proponuje podejmowanie prób przezwyciężenia zła na gruncie *„czystej indywidualności"*, która jest niezależna od zjawisk w sferze intersubiektywnej, a przez to wolna od egoizmu, żądzy majątku, dążenia do wywyższania siebie i poniżania innych. Na tej najwyższej wartości, której istotą są zdolności twórcze jednostki, radzi budować.

Koncepcja powyższa jest pociągająca, lecz rodzi pytania zasadnicze i dlatego wymagałaby rozwinięcia, czego uczony dotąd nie zrobił. Ale może rzeczywiście tak jest, że walka dobra i zła w duszy ludzkiej polega na zmaganiach boskiej *„indywidualności czystej"* z diabelskim *„tym co wspólne"*. W każdym bądź razie — jak mistrzowsko pokazał *Fiodor Dostojewski* — dusza nasza także jest terenem konfliktu między *Bogiem* a *Szatanem*. Ten wybitny pisarz i znawca natury człowieka podkreślał, że niemoralność i zło głębiej są zakorzenione w ludzkości, aniżeli przypuszczają *„lekarze — socjaliści"*. Prawa ducha, jego zdaniem, wciąż pozostają okryte tajemnicą i stąd nie może być jeszcze ani lekarzy, ani ostatecznych sędziów w tym zakresie.

Bardzo głęboki psychologicznie i ciekawy pedagogicznie pogląd spotykamy w apokryficznym *Testamencie Judy* (XX). Czytamy tam: *„Wiedzcie, że dwa duchy przebywają w człowieku — duch prawdy i duch błędu, a między nimi — sumienie, by go skłoniło tam, gdzie on zechce"*. A zatem człowiek, jeśli tylko będzie chciał, może być dobry. Podobnym optymizmem przepojone są idee mędrców buddyjskich, hinduskich i chińskich. *Buddyzm* zakłada, że ludzie mogą o własnych siłach stać się dobrzy. Muszą tylko poznać święte prawdy i kroczyć szlachetną ścieżką. Również Chińczycy zachęcają do poznania *Tao* (drogi) i postępowania według jej reguł. Na uwagę przy tym zasługuje przekonanie zarówno konfucjanistów, jak i taoistów, że dobro człowieka zależy od cech władców.

W myśl *Wschodu* ugruntowane jest przeświadczenie, iż właściwa filozofia życiowa stanowi konieczną przesłankę dobra i szczęścia. Uznało to także wielu mądrych ludzi Zachodu. *Lew Tołstoj* ukazał, że umieranie inaczej wygląda przy odmiennych nastawieniach wobec świata. W opowiadaniu *„Trzy śmierci"* chora pani lęka się rozstania z życiem i zadręcza męża, ponieważ z powodu fałszywej religii nie pojmuje istoty śmierci. Natomiast chłop umiera spokojnie, gdyż tylko zwyczajowo był chrześcijaninem, a naprawdę posiadał religię natury i dzięki temu rozumiał prawo życia i śmierci. A najpiękniej i najgodniej umiera drzewo, które nie mając świadomości *„nie kłamie, nie kryguje się, nie czuje strachu ani żalu"*.

Drogi do szczęścia

Władysław Tatarkiewicz wyróżniał cztery rozumienia szczęścia: w pierwszym jest nim pomyślny los; w drugim — intensywnie przeżywana radość, w trzecim — posiadanie najwyższych dóbr lub dodatniego bilansu życiowego, a w ostatnim — za którym opowiada się sam autor — pełne i trwałe zadowolenie z całości życia. Ale mnie osobiście bardziej podoba się jeszcze inne określenie, choć dość abstrakcyjne, dane przez *Hegla*. Filozof niemiecki definiuje szczęście jako *„pewną przypadkową, naturalną harmonię podmiotu z zewnętrznymi stanami"*. Szczęściem jest stan błogości.

W jaki sposób osiągnąć szczęście? Najprostszą i najbardziej skuteczną receptę dał *Budda* — unikać cierpienia drogą redukcji potrzeb. Innymi słowy: szczęście to w o l n o ś ć od nadmiernych pragnień. Przy skrajnej interpretacji nawet obiektywnie głęboko nieszczęśliwy człowiek będzie czuł się subiektywnie nieźle — mówiąc sobie, iż dobrze, że nie jest gorzej. Według psychologii buddyjskiej samopoczucie człowieka jest tym lepsze, im mniej oczekuje od życia. W starożytnej Grecji podobną postawę zajmował *Diogenes* z Synopy. Często cytuje się jego dewizę życiową: *„Niczego nie posiadać i niczego nie pragnąć"*. W tym duchu występował także *Jezus Chrystus*, który głosił, że szczęście człowieka nie zależy od stanu posiadania dóbr materialnych, lecz od bogactwa duchowego. I chwalił *Marię* z Betanii nie troszczącą się, jak jej siostra *Marta*, o codzienne sprawy bytowe. Nauczał, żeby nie naśladować pogan w ich przesadnej zapobiegliwości na przykład — mówiąc: *„Dosyć ma dzień swojej biedy"*. Entuzjastą tego typu filozofii był *Lew Tołstoj*. W liście do syna, *Michała*, z 1895 roku, pisał: *„Główną i podstawową pokusą, przed którą ostrzega nauka Chrystusa, jest wiara, że szczęście polega na zaspokajaniu osobistego pożądania"*. W czasie pobytu w niewoli *Piotr Bezuchow* odkrył, że nieszczęście wcale nie pochodzi z braku, lecz z nadmiaru.

Inny model szczęśliwego życia ukształtował się w obyczajowości *chrześcijańskiej*. Polegał on na dobrowolnym umartwianiu się, przyjmowaniu surowej dyscypliny i nawet zadawaniu sobie cierpień. Wyrzekano się życia erotycznego, nakładano pokutne szaty, unikano wszelkich wygód i zabaw. Nasilenie tych zjawisk notowano w okresach Odrodzenia i Baroku. Z naszej historii XIII wieku znany jest przykład św. *Kingi*, która to — jak mówiły jej dworki — *„najmniejszej cząsteczki ciała księcia-małżonka nie chciała oglądać"*. Przez to *Bolesław* zyskał miano *Wstydliwego*. Jak na ironię, kiedy władca świecki żył w przymusowej wstrzemięźliwości płciowej, to ówczesny biskup krakowski, *Paweł* z Przemankowa, utrzymywał cały harem i porwał nawet zakonnicę. A dla odmiany żona następcy *Wstydliwego* — *Leszka Czarnego*, publicznie zarzuciła mężowi *„niemoc i oziębłość"* i zażądała rozwodu. Ale ad rem. Koncepcję osiągania szczęścia poprzez cierpienie reprezentował *Fiodor Dostojewski*. W notatkach do *„Zbrodni i kary"* znajdujemy taką uwagę: *„Człowiek nie przychodzi na świat, by być szczęśliwym. Człowiek musi zasłużyć sobie na swoje szczęście i to zawsze cierpieniem"*. Święty starzec *Zosima* mówił do *Aloszy Karamazowa*: *„Oto mój testament: w cierpieniu szczęścia szukaj"*. *Dostojewski* sądził, że wyraża prawosławny punkt widzenia. Przyjmując założenie, iż cierpienie należy w jakiś sposób do harmonii świata, *Iwan Karamazow* nie mógł jednak pojąć, dlaczego prawo to obejmuje również niewinne dzieci. I przeciwko temu się buntował.

Kolejny wzór drogi do szczęścia spotykamy w kulturze *chińskiej*. Od czasów starożytnych szczęście ujmowano tam jako satysfakcję z powodu dobrze spełnionych o b o w i ą z k ó w wobec rodziny, starszych, przyjaciół i państwa. Człowiek nie ma i nie może mieć żadnych praw, lecz wyłącznie obowiązki. W *„Dialogach konfucjańskich"* powiada się: *„Człowiek doskonały myśli o obowiązku, człowiek marny troszczy się o korzyści"*. Poczucie zrealizowanych powinności i spokój sumienia — to jedyne, co obiecuje *konfucjanizm* za przestrzeganie przykazań. Rzecz znamienna: nie straszy się tu karami piekielnymi, jest to religia bez Boga, a jej skuteczność wychowawcza jest najwyższa w świecie.

Etyka obowiązku odgrywa dużą rolę także w Indiach, gdzie ludzie zmuszeni są przestrzegać tzw. *„dharmy"*, czyli odpowiedniego dla danej grupy społecznej (kasty) sposobu życia. Ścisłe wypełnianie właściwej *dharmy* przybliża do całkowitego wyzwolenia z reinkarnacji. Oprócz tego Hindusi wskazują dwa dalsze cele życia: uczciwe zdobywanie majątku oraz osiąganie rozkoszy. W Indiach rozwinęła się najbardziej subtelna i wyrafinowana kultura erotyczna. Już w V wieku powstał tu znakomity podręcznik sztuki miłosnej — *„Kamasutra"*. Hinduskim ideałem piękności jest kobieta o kształtach optymalnie dobranych dla osiągnięcia rozkoszy cielesnej (grube uda, szerokie biodra, szczupła talia i bujne piersi).

Następną koncepcję nazywam *mieszczańską*. Sprowadza się ona do orientacji na *„mieć"* i *„znaczyć"* materialnie jak najwięcej. Jest to jednak w gruncie rzeczy droga ciągłej kalkulacji i trwogi o majątek, droga wiecznej zgryzoty i syzyfowego trudu. W tym przypadku szczęście jak fatamorgana jest nieosiągalne, ale ludzie Zachodu nie dają się przekonać i masowo ruszają na ten szlak.

Osobiście polecam jeszcze inny (piąty) wzór życia szczęśliwego, a mianowicie postawę nieustannej w a l k i ze złem (w sobie i na zewnątrz). Skąd taki właśnie model? Otóż, jeśli, jak pisałem na wstępie, prawem struktury i rozwoju świata jest walka, to trzeba się włączyć w ten boski czy naturalny proces. I dzięki temu osiągać *„harmonię podmiotu z zewnętrznymi stanami" (Hegel)*. Zwolennikiem walki jako ideału szczęścia był też *Karol Marks*, co ujawnił w pewnej ankiecie swej córce. A za synonim nieszczęścia uważał kapitulację. Zaś wielki filozof katolicki, *Pierre Teihard de Chardin*, traktował walkę ze złem jako współudział w dziele tworzenia świata — razem z Bogiem. Warto tu też przytoczyć opinię *Witolda Gombrowicza*, że lepiej już się spalać, niż trupio ostudzać.

Walka wymaga jednak określonego światopoglądu. A przede wszystkim trzeba, jak sądzę, posiadać trzy cnoty *„boskie"*: wiarę, nadzieję i miłość. Najpierw należy w coś *wierzyć* — jeśli nie w Boga, to w człowieka. Przy czym to drugie jest niesłychanie trudne. *„W Boga wierzą tylko ludzie* — powiadał *Adolf Nowaczyński* — *w człowieka półbogi"*. Następnie konieczna jest *nadzieja*. I nieprawda, że jest matką głupich. Życie bez nadziei nie ma po prostu sensu. Ale nadziei nie ma bez wiary. A dalej potrzebna jest *miłość*, która wymaga z kolei wiary i nadziei. Czym jest miłość? Najkrócej — jak pisał *Erich Fromm* — jest d a w a n i e m, a nie braniem. Myślę, że jeśli kogoś nie stać na walkę, to do szczęścia wystarczą już same te trzy cnoty — są bowiem *„boskie"*, a bogowie są przecież szczęśliwi. Ale lepiej walczmy, gdyż spokój — jak twierdził *Tołstoj* — to *„podłość duchowa"*.

po prostu

TYGODNIK STUDENTÓW I MŁODEJ INTELIGENCJI

„Po prostu" redagował zespół: Jerzy Ambroziewicz, Andrzej Berkowicz, Anna Bratkowska (z-ca red. nacz.), Jolanta Chełstowska, Stanisław Chełstowski, Janusz Chudzyński, Jerzy Ćwiertnia, Włodzimierz Godek, Edmund Gonczarski, Edward Hołda, Tadeusz Jaszczyk, Barbara Kałamacka, Jerzy Kossak, Janusz Kuczyński, Eligiusz Lasota (redaktor naczelny), Jan Olszewski, Zbigniew Sufin, Wiesław Szyndler (sekretarz redakcji), Ryszard Turski (z-ca red. nacz.), Jerzy Urban, Witold Wirpsza, Ryszard Wiśniowski, Bogusław Wojnar, Roman Zimand.

„Po prostu" — pismo polskiego października. Pismo, które walczyło, wychowywało, jednoczyło. Pismo, które jako pierwsze w kraju ujawniło nadużycia okresu stalinizmu, przygotowywało społeczeństwo do zmian i do powrotu Władysława Gomułki.

W numerze na początek roku akademickiego 1955/56 zespół pisma tak się określił: **„Jesteśmy grupą młodych zapaleńców, ludzi którzy nie potrafią nie wtrącać się do wszystkiego, co się wokół nich dzieje. Jesteśmy grupą niezadowolonych. Chcemy więcej, mądrzej, lepiej".**

Od tego czasu obserwuje się oszałamiającą karierę pisma. Do redakcji nadchodzą tysiące listów. „Po prostu" staje się obowiązkową lekturą studentów i robotników warszawskich, jest rozchwytywane w wielkich miastach i na prowincji.

„Po prostu" to także fenomen pracy zespołowej. Oddani sprawie dziennikarze wspólnie walczyli o zdejmowane przez cenzurę materiały, solidarnie występowali w obronie naczelnego redaktora. **„Jeśli Lasota będzie zdjęty** — pisali w oświadczeniu — **to my wszyscy zrezygnujemy. Zespół solidaryzuje się z decyzjami redaktora naczelnego i identyfikuje z linią pisma, która jest zgodna z interesem narodu".**

Pozostali wierni pismu do końca. W 1957 r. władze zamknęły tygodnik, a studentów demonstrujących w obronie pisma rozgromiono.

Proponujemy przejrzeć dziś stare numery „Po prostu", przypomnieć sobie, o czym pisali dziennikarze, o których Czytelnicy mówili, że **„nie chodzą na pasku".**

(mg)

MISJA NASZEGO POKOLENIA

Jesteśmy pokoleniem tragicznym — i to z wielu bardzo względów. Tragiczność naszej sytuacji nie oznacza jednak bynajmniej fatalistycznej konieczności uczynienia z naszego pokolenia ludzi nijakich, którzy będą pustym, jałowym tylko dźwiękiem historii. Możemy stać się dźwiękiem doniosłym, mocnym. Mamy ku temu wielką szansę i od nas samych zależy, czy potrafimy ją właściwie wykorzystać. Szansą tą, szczególną rolą historyczną, którą możemy i powinniśmy odegrać jest możliwość wypiastowania wizji — właśnie przez nasze pokolenie — wywalczenia realnego kształtu autentycznego społeczeństwa socjalistycznego.

Stwierdzenie to nie jest koniunkturalnym frazesem. Wyraża ono moje najgłębsze przekonania, oparte jest na realnych, jak mi się wydaje, faktach i okolicznościach.

Kraj nasz znajduje się obecnie w centrum zainteresowania całej światowej opinii publicznej, zwłaszcza zaś postępowej światowej opinii publicznej. Wielu ludzi w świecie z nadzieją i otuchą patrzy na tendencje rozwojowe, przeobrażenia zachodzące w naszym kraju. Spodziewają się, że kształtowana obecnie w naszych warunkach nasza droga do socjalizmu będzie zawierała istotne elementy atrakcyjne, przekonywające dla krajów o tzw. kulturze zachodniej. Polski eksperyment — jak to się w świecie określa — nie jest więc tylko naszą wewnętrzną, polską sprawą. Jest sprawą światowego ruchu robotniczego, światowego ruchu rewolucji socjalnych i postępu społecznego.

RYSZARD TURSKI
(nr 43 z 21.X.1956)

POLSKI PAŹDZIERNIK

Co stało się w naszym kraju? Mówiąc najprościej i najjaśniej trzeba chyba stwierdzić, że dokonała się u nas po prostu rewolucja. Rzeczywista rewolucja ekonomiczno-polityczna, społeczna, ideologiczna. Miała ona swoją treść społeczną, swoje siły napędowe, swojego hegemona. Wszystkie te jej elementy decydują o tym, że posiada ona określony charakter klasowy, że jest niewątpliwie przewrotem socjalistycznym. (...)

W ciągu ostatnich lat, w warunkach rozwoju i ugruntowywania się systemu biurokratycznego centralizmu zachodził proces konsekwentnego oddzielania bezpośrednich wytwórców klasy robotniczej od środków produkcji. Stopniono traciła ona pozycję podmiotu produkcji — zdobytą w pewnym okresie w latach 1944—45 — stawała się coraz widoczniej jej przedmiotem.

Powstały w wyniku tego konflikt między stosunkami produkcji a siłami wytwórczymi nabrał bardzo szybko ostrego, antagonistycznego charakteru, powodując wielostronne negatywne konsekwencje ekonomiczne, społeczne i polityczne. (...).

Efekt końcowy — konflikt między partią, ściślej mówiąc aparatem partii a społeczeństwem.

RYSZARD TURSKI,
ELIGIUSZ LASOTA
(nr 44 z 28.X.1956)

SPRAWY POLAKÓW

Powiedzieliśmy w dniach VIII Plenum, że nigdy nie zgodzimy się na powrót czasów, w których narodowi nie mówiono prawdy. Chcemy mówić prawdę i będziemy ją mówili — jest to bowiem jeden z warunków zwycięstwa demokracji w Polsce. Dlatego mówimy: sytuacja jest trudna. Sytuacja wymaga mobilizacji politycznej mas, czujności rewolucyjnej, patriotycznej rozwagi.

I właśnie dlatego, że sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy, jest tak trudna, właśnie dlatego musimy sobie jasno uświadomić, co w tych ostatnich dniach zdobyliśmy i na jakich zagadnieniach powinniśmy skupić cały rewolucyjny wysiłek narodu w najbliższej przyszłości. (...)

W czasie trwania VIII Plenum wiece robotników i studentów warszawskich były zrozumiałą i skuteczną formą działania politycznego. Na wiecach ludzie mówili — po raz pierwszy od wielu lat otwarcie o co im chodzi. Pod osłoną mas robotników i młodzieży obradowało Plenum — masy broniły suwerenności swojej i swojej partii. W pierwszych chwilach po Plenum na wiecach dawaliśmy wyraz swoim uczuciom, rozmawialiśmy wprost z nowym kierownictwem.

Dziś mówimy, że należy skończyć z wiecowaniem. Czy proponujemy tym samym demobilizację polityczną mas? Czy drogą demobilizacji chcemy osiągnąć spokój i rozwagę? Nie. Chodzi natomiast o to: nowa sytuacja polityczna wymaga nowych form działania politycznego, nowych form więzi kierownictwa z masami. Chodzi więc o to, że w obecnej chwili wiece są nieskuteczną formą organizacji mas.

W dniach października instynkt patriotyczny i rewolucyjny mas zwyciężył. Ale sam instynkt polityczny na dłuższą metę jest niewystarczający. Są przecież, szczególnie wśród nas — młodych, ludzie uczciwi, ale kierujący się wyłącznie uczuciami, w polityce zaś trzeba się kierować i sercem i głową. Gdy brak rozwagi, najszlachetniejsze uczucie może spowodować niezamierzoną katastrofę. Powiedzmy sobie prawdę — taka katastrofa może grozić Polsce, jeśli zabraknie nam poważnego politycznego myślenia. Na wielkich masowych wiecach decydują zaś najczęściej uczucia. W atmosferze masowego podniecenia rozsądek polityczny nie zawsze góruje. Czy znaczy to, że nawołujemy do osłabienia rewolucyjnej, patriotycznej czujności narodu? Wręcz przeciwnie. Uważamy, że trzeba przejść do wyższych i trwalszych form organizowania więzi różnych środowisk młodzieży, niż dorywcze czy „permamentne" wiece. (...)

Możemy zyskać wszystko. Wywalczyć socjalistyczną demokrację. Obronić naszą niezawisłość. Zdobyć w przyszłości dostatek. Ale brak rozwagi i ślepota polityczna są niebezpieczne, mogą wszystko zaprzepaścić. Nie wolno o tym zapominać.

REDAKCJE „PO PROSTU"
I „SZTANDARU MŁODYCH"
(nr 45 z 4.XI.1956)

CO ROBIĆ DALEJ?

Nowa organizacja powstawać będzie i powstaje w trudnej walce o swe prawo do istnienia. Nie tworzy się z niczyjego nadania. Z żadnej pozamłodzieżowej inicjatywy.

Wszystkie siły ciążące ku temu, co stare i w partii i poza partią, sprzysięgną się w walce przeciw nim. Dowodem tego jest działanie starego aparatu zetempowskiego i wiele innych codziennych przejawów tego typu. Nie łudźmy się. Ataki i przeciwdziałanie będą się mnożyć. Ale to i dobrze. Utrudni nam to powstawanie i ułatwi zarazem. Utrudni — bo spiętrzy trudności. Ułatwi, bo od razu przysporzy atmosfery bojowej walki, nie pozwoli byśmy rodzili się w usłanej watą kołysce. (...)

Chcemy tworzyć organizację bez etatowych działaczy, demokratyczną od dołu do góry, kierującą się zasadą absolutnej jawności w każdej sprawie i sytuacji.

Te demokratyczne zasady wydają się być, w odniesieniu do nas, zrozumiałe same przez się.

Tak samo zrozumiałe jest, że poprzemy wszystko co jest w Polsce postępem.

Nie dopracowujemy w niniejszym zarysie propozycji szczegółów programowych i organizacyjnych. Chcemy tylko jeszcze raz zagaić dyskusję i zaproponować określone działanie oraz pewne podstawy programowe, których brak jest już w tej chwili dokuczliwy.

Nie uważamy niniejszego za projekt programu. Jest to materiał zbyt niepełny. Wypadki toczą się szybko. Uznaliśmy, że lepiej mało i od razu niż więcej i potem. Dajemy tylko tyle, na ile w tej chwili nas stać.

Zespół PO PROSTU współprojektując naszą organizację, uważa się — jak to zadeklarowaliśmy wyżej — za jej członków. Gotowi jesteśmy zawsze, szczególnie w okresie tworzenia, który jest przed nami, udzielić wszelkiej, na jaką nas stać, pomocy koncepcyjnej i programowej powstającemu ruchowi oraz w miarę naszych naprawdę bardzo skromnych możliwości — pomocy organizacyjnej. Uważamy, że organizacja winna powstawać oddolnie. Na drodze unifikowania się i konsolidowania istniejących i powstających grup, które porozumiawszy się na zasadzie programowej dyskusji i podjętego wspólnie działania będą od razu wyłaniać tymczasowe władze środowiskowe i terenowe. Sądzimy, że następnym etapem będzie pierwszy konstytucjonalny zjazd nowego, powstającego już w terenie Związku, który opracuje program, statut, określi nazwę Związku i wybierze władze centralne.

Podejmujemy się w sensie organizacyjnym zabezpieczyć zjazdowi możliwość obradowania. Postaramy się też, wedle możliwości, wnieść weń nasz merytoryczny wkład *).

GRUPA PO PROSTU
(nr 48 z 25.XI.1956)

*) Dotyczy nowej organizacji młodzieżowej: Rewolucyjnego Związku Młodzieży.

SKĄD I DLACZEGO NASTROJE ANTYINTELIGENCKIE?

W ostatnich tygodniach na łamach naszej prasy — codziennej i tygodniowej — wracał uparcie temat: inteligencja i antyinteligenckie nastroje.

(...) Jeśli ktoś boi się dyskusji o sprawach zasadniczych i krytyki spraw zasadniczych, to boi się inteligencji i intelektualistów — gdyż siłą rzeczy inteligencja i intelektualiści z racji swojej funkcji społecznej, z racji swego moralnego powołania i intelektualnych umiejętności w takiej dyskusji wysuwają się na czoło.

Tu pewna drobna dygresja. W każdym ruchu rewolucyjnym, a tym bardziej w marksistowskim ruchu robotniczym, rola intelektualistów była zawsze ogromna. Gdyby niektórzy z naszych działaczy mieli przed sobą ankiety personalne Marksa, Engelsa i Lenina, to ankiety te, obawiam się, wydawałyby się im bardzo podejrzane (nb. obawiam się, że niektóre ich poglądy — też). Dopiero w okresie, który nazywamy umownie „kultem jednostki", słowo „inteligencki" stało się przymiotnikiem pejoratywnym — ze zrozumiałych względów. Po to, by zastąpić umiejętność samodzielnego i śmiałego myślenia — antyintelektualną wiarą, bezmyślnym posłuszeństwem, trzeba było zniszczyć tę siłę oporu, jaką stanowi inteligencja u każdego człowieka, trzeba było nadać samemu słowu „inteligencki" podejrzane brzmienie. (...)

Jeżeli nagle teraz w Polsce Ludowej niektórzy ludzie odkrywają, że inteligencję, pisarzy, dziennikarzy itd., można niemal zaliczyć do „podejrzanych elementów", to trzeba by zapytać — dlaczego dokonują tego odkrycia właśnie w roku 1956?

Przez wiele lat poprzednich z przyczyn dostatecznie już omówionych i znanych przeżyliśmy naprawdę jakąś degradację inteligencji. Wielu milczało, wielu ugięło się z oportunizmu, wielu innych przyjęło z żarliwym sercem hasła, których konfrontacja z życiem musiałaby nasuwać wniosek o zakłamaniu, gdyby tej konfrontacji dokonali — a taki był ich moralny i intelektualny obowiązek. To właśnie w tym okresie inteligencja twórcza sprzeniewierzyła się swemu zadaniu — ale tego jakoś nikt jej nie brał za złe. Dopiero, kiedy inteligencja zgodnie ze swym sumieniem i rozumem walczy o cel, który jest celem klasy robotniczej, bo tym celem jest uczłowieczenie socjalizmu — dopiero wtedy doczekała się ona epitetów, którymi niegdyś obdarzyła ją bynajmniej nie socjalistyczna, lecz zupełnie inna prasa. (...)

Antyinteligenckość jest pozorem. Pozorem dla przeciwdziałania nie tylko dyskusji, lecz dla przeciwdziałania temu całemu kompleksowi zagadnień, który dla skrótu nazywamy demokratyzacją i który polega na pełnym rozwoju — i w bazie, i w nadbudowie wszystkich elementów, składających się na szczęście ludzkie. Dlatego antyinteligenckość — jak zawsze i wszędzie — również w r. 1956 w Polsce Ludowej — jest hasłem głęboko reakcyjnym.

EDDA WERFEL
(nr 25 z 17.VI.1856)

PRZECIW MONOPOLOWI W NAUCE

Sprawa kierowania nauką i nauczycielem należy niewątpliwie do spraw najmniej popularnych. Zbyt mocno zespoliła się z tym pojęciem pamięć o jednym z wielu mitów stalinowskiej epoki. O micie, który głosił, że twórczość naukową można zadekretować i regulować wedle arbitralnie przyjętych założeń; że proces nauczania przekształcić można w fabryczny cykl produkcyjny, że rolę wkładu surowca spełnia w nim wykład i seminarium, a zamiast fabrycznego brakarza występuje egzaminator. (...).

Monopolistyczna pozycja „jedynych" katedr była dla odmiany (w dziedzinie filozofii i socjologii) dodatkową przyczyną stagnacji i zacofania filozofii marksistowskiej. Ta filozofia rozwijać się może tylko w codziennym kontakcie z innymi kierunkami filozoficznymi, w codziennym z nimi współzawodnictwie. Łatwe zwycięstwo nad przeciwnikami filozoficznymi, odniesione z użyciem kombinowanych politycznych i administracyjnych środków, bez porównania więcej krzywdy przyniosło filozofii marksistowskiej, niż jej przeciwnikom. Być może zahamowało na czas pewien prace innych kierunków, mechanicznie ograniczyło zasięg ich oddziaływania, ale dla filozofii marksistowskiej okazało się zabójcze. Nie wspominam już o ujmie dla moralnego autorytetu tej filozofii.

Trzeba pamiętać również, że izolowana od filozofii światowej i zabezpieczona przed konfrontacją z nią, zaślepiona iluzorycznym, bo administracyjnym monopolem krajowym, obałamucona pozanaukowymi podstawami swej dydaktycznej potęgi — filozofia marksistowska wbrew głoszonym przez siebie hasłom przestała się rozwijać. Filozofowie marksiści przypominali zespół śpiewaczy z Cyrulika Sewilskiego, nawołujący się nawzajem do biegu i tkwiący niewzruszenie w miejscu w niezachwianej pewności, że dzięki potędze zakulisowego inspicjenta pogoń przed czasem nie wedrze się na sce-

ne. Ale konwencja operowa przeniesiona do nauki przestaje śmieszyć. (...)

Optymalne warunki dla rozwoju naukowej filozofii i socjologii pojawić się mogą tylko wtedy, gdy w ośrodkach kształcących filozofów i socjologów i na wyższych uczelniach w ogóle pojawią się różne katedry filozofii i różne katedry socjologii, reprezentujące różne szkoły naukowe. (Sądzę np., że na Uniwersytecie Warszawskim jest miejsce m. in. na katedrę filozofii zarówno prof. Schaffa jak i prof. Ingardena, katedry socjologii prof. Ossowskiego i prof. Hochfelda; katedry historii filozofii i myśli społecznej prof. Tatarkiewicza i prof. Assorodobraj, katedry logiki prof. Kotarbińskiego i prof. Ajdukiewicza). Wtedy realne wpływy na umysły podrastającej kadry inteligencji i dobrowolnie dokonywany wybór systemu filozoficznego będą wynikiem rzetelnego naukowego współzawodnictwa rozwijającego i hartującego współzawodniczące strony.

Wtedy też przewaga komunistycznego światopoglądu wyzwolenia człowieka, na której rozpowszechnieniu państwu ludowemu szczególnie zależy, gwarantowana będzie w jedyny realny sposób — przewagą naukową, moralną i wpływem socjalistycznych stosunków społecznych.

ZYGMUNT BAUMAN
(nr 48 z 25.XI.1956)

SIŁY POLSKIEJ REWOLUCJI

Niechaj się nikomu nie wydaje, że walka o prasę w okresie październikowym leżała tylko w kręgu spraw wolności słowa. Chodziło po prostu o to czyją prawdę ma głosić prasa — prawdę administracji czy prawdę robotników. Wściekły atak konserwy partyjnej na prasę był niczym innym jak tylko chęcią zmuszenia dziennikarzy, by głosili prawdy administracji i zrezygnowali z prawdy robotniczej, z prawdy olbrzymiej większości narodu. Walka o prasę była, jak widać, z gatunku dość zasadniczych.

W miarę narastania świadomości wśród robotników narastała także walka robotników z administracją. Walka przede wszystkim o charakterze ekonomicznym. Trzeba powiedzieć, że walka ta odbywała się w niesłychanie trudnych warunkach. Administracja była zorganizowana, miała tysiące swoich organów w postaci narad, konferencji na szczeblu ministerialnym, partyjnym... (...)

Jakie oblicze miała ta swoista walka ludzi pracy przeciwko zorganizowanemu aparatowi zarządzania? Początkowo — skargi. Wszystkie redakcje, wszystkie biura ministerialne były zawalone skargami. Szło się, jak w czasach c.k. Austrii, od jednego urzędu do wyższego urzędu, od wyższego do najwyższego. Wędrówki te były może najlepszym dowodem, że zarówno Związki Zawodowe, jak i inne organizacje robotnicze stały się w zakładzie fikcją. I w zasadzie pracownik nie mógł liczyć na swoim terenie na obronę. Na „szczeblu centralnym" też nie było organizacji, która by go broniła. Związki Zawodowe? Z chwilą, gdy Związki nie broniły płacy robotników, robotnicy stracili do nich wszelkie zaufanie. Związki Zawodowe stały się wówczas fikcją i nie mogły bronić również innych spraw robotniczych.

Nagromadzenie krzywd rodziło czasem żywiołowe wybuchy. Przypominam sobie, że jesienią ub. r. robotnice w pewnym zakładzie pod Warszawą otoczyły przybyłego ministra i nie chciały go wypuścić tak długo, dopóki nie obiecał im, że dyrektor zostanie zdjęty. A robotnice te działały poza jakąkolwiek organizacją. Takich żywiołowych buntów było więcej. Było to w warunkach całkowitego uwstecznienia organizacji robotników.

EDMUND GONCZARSKI
(nr 52—53 z 23—30.XII.1956)

ODPŁYW

Energii młodości odpowiada w polityce najbardziej atmosfera bezpośrednich przeciw czemuś wystąpień, atmosfera otwartej, bezkompromisowej negacji, bez połowiczności. Taktyka, ustępstwo, wyrachowanie — to już element właściwy dorosłym. Dylemat perspektyw przyszłości skonstruowany jest ze skrajnych przeciwieństw — klęska albo zwycięstwo o charakterze pogromu; po drodze — walka bez pardonu.

W dodatku minione siedem lat nie sprzyjały rozwojowi racjonalizmu myśli. A myślenie polityczne ludzi w wieku wiosen około 21 jest w naszym kraju zwykle dość dalekie od intelektualizmu. Nawet cynizm „wdechowców" był u nas głęboko irracjonalny, przyjmowany intuicyjnie, cóż zaś mówić dopiero o poglądach tych, których zakłamanie i ucisk myśli nie zdołało odwrócić plecami do spraw ogólnospołecznych?

Polityka jest obok wszystkich in-

nych — sztuką ustępowania. Ustępowania tylko tak daleko, jak daleko musi się ustąpić. I ustępowania w taki sposób, by ustępstwo w miarę możliwości było tylko pozorne. Polityka jako sztuka — przeciwnie niż to pojmowały Etaty od Polityki — opiera się na konsekwentnym realizmie w ocenie rzeczywistości. Natomiast dla mojego znajomego nawet najbardziej radykalni, nawet anarchizujący reprezentanci RZM są jeszcze zbyt trzeźwi, zbyt ulegający kompromisowości. I wcale się nie zdziwiłem, gdy na tajnym zjeździe Młodych Demokratów (jeszcze przed rozwiązaniem się Zarządu Głównego) jeden z uczestników oświadczył, że posługiwanie się demagogicznymi hasłami jest usprawiedliwione jako konieczny środek do utrzymania popularności. Jest to coś innego niż niebezpieczna perfidia młodego smarkacza. To jest wyczucie nastrojów (warunek, zresztą sine qua non, każdej demagogii). (...)

Wiele chłopców i dziewcząt odeszło od ruchu politycznego w ubiegłym miesiącu. Mój znajomy nie należał do grupy, dla której obalanie starego systemu zła i ucisku miało z jednej strony smak atrakcji i wielkiej przygody, z drugiej zaś — było jednorazowym wyładowaniem energii. Mój znajomy do dziś posiada duży zasób energii i pasji. Odchodzi, bo centrum jego politycznego myślenia mieści się w sercu, nie w głowie. A nawet najbardziej bohaterskie serca nie są w polityce równe wartością mózgom. Ale chyba w organizowaniu ruchu politycznego nie o niego idzie gra. Mój znajomy doszlusuje zawsze w okresach wielkich kampanii politycznych, stanowi odwód.

STEFAN BRATKOWSKI
(nr 6 z 10.II.1957)

SAMORZĄD ROBOTNICZY

„DEMOKRACJA ROBOTNICZA w zakładzie produkcyjnym w tym właśnie zdąża kierunku, aby przez bezpośredni udział w zarządzaniu zakładem uczynić z załogi rzeczywistego współgospodarza, wszechstronnie zainteresowanego losami swojej fabryki. Jest to również GWARANCJA, że unikniemy ewentualnych błędów i wypaczeń przez stworzenie warunków kontroli kierownictwa ze strony załogi.

Nie zaprzeczając zasadzie jednoosobowego kierownictwa, wydaje się konieczne wyłonić spośród załogi SAMORZĄD FABRYCZNY w drodze tajnych, demokratycznych wyborów.

Samorząd fabryczny miałby swobodę postępowania we wszystkich zagadnieniach, dotyczących gospodarki fabryki, rozwiązując je zgodnie z interesami klasy robotniczej i państwa".

Dalej czytamy:

„Samorząd fabryczny wybiera ze swego składu 7—9 osób, w tym przewodniczącego i jego zastępcę, których na wniosek samorządu akceptuje minister przemysłu maszynowego...".

Następnie:

„W wypadku prowadzenia przez samorząd fabryczny polityki niezgodnej z zaleceniami partii i rządu, Plenum KZ PZPR udzieliłoby samorządowi votum nieufności po czym przeprowadzałoby się nowe wybory...

...Przewiduje się, że samorząd fabryczny będzie najwyższą instancją zarządzającą fabryką. Polecenia samorządu będą obowiązywały dyrekcję. W wypadkach spornych pomiędzy samorządem i dyrekcją, dyrektor będzie miał prawo odwołać się do Komitetu Zakładowego PZPR. Komitet Zakładowy w porozumieniu z fachowcami zakładu i ewentualnie z zewnątrz rozstrzygnąłby spory tego rodzaju.

Co wchodziłoby w zakres kompetencji samorządu?

Samorząd byłby upoważniony do badania i uznawania bilansów miesięcznych i bilansu rocznego, czuwałby nad planami perspektywicznymi zakładu, zatwierdzałby roczny plan produkcji i zmiany w planie w okresie wykonawczym.

Jeśli chodzi o płace, to w tym wypadku samorząd na podstawie ustalonego przez Radę Zakładową minimum zarobku zatwierdzałby taryfę zaszeregowań, nie byłby jednak upoważniony do jakichkolwiek zmian bez zgody Rady Zakładowej".

I wreszcie:

„Jeśli już mowa o tym, że samorząd jest najwyższą władzą w zakładzie, jeśli składa się on z przedstawicieli załogi, z której chcemy uczynić rzeczywistego współgospodarza fabryki, to najsłuszniejsza wydaje się teza, aby dyrektor naczelny i jego zastępcy byli angażowani przez samorząd fabryczny".

JERZY KOSSAK,
RYSZARD TURSKI,
WITOLD WIRPSZA
(nr 40 z 30.IX.1956)

Przygotowała do druku:
MAŁGORZATA GOLICKA

BUNT CZY MIT BUNTU?

W dziejach literatury polskiej rok 1956 przyjęto jako umowny moment startu generacji określonej raz jako pokolenie 56, innym razem jako pokolenie „Współczesności", przy czym termin pierwszy odnoszono zwykle do poezji, drugi stosowano na ogół przy refleksji nad twórczością prozatorską.

Większość z tych ludzi, urodzonych w latach 30-tych, wychowanych i dojrzewających w Polsce Ludowej, debiutowała właśnie około roku 1956 — rok ten zawarł ich p r z e ż y c i e pokoleniowe. Czy rzeczywiście połączył ich w pewną całość ów rok buntu, rok protestu? Czy tylko skorzystali z okazji, aby — jako niedawni wychowankowie Kół Młodych — wypływać na szersze, choć nieraz mętne, wody? Dziś, ćwierć wieku później, większość z nich zdobyła mocną pozycję w pisarskich hierarchiach, niektórzy stali się nawet klasykami. Wtedy chcieli się buntować: po pierwsze jako młodzi, po drugie należało tak czynić na ogólnej fali. W sposób naturalny wyrazem ich buntu miała być twórczość i na tym, to znaczy na zdobyciu możliwości publikacji, zależało im najbardziej. Stąd główne uderzenie skierowali przeciwko literackiemu establishmentowi. Usiłowali skandalizować — choć z rzadka czynili to w sposób spektakularny. A wkrótce okazało się, że „niewinnych czarodziejów" bardziej zainteresowała technika życia (nie tylko literackiego zresztą), niż jego treść.

Starsi koledzy dziś jeszcze osądzają ich surowo. Kazimierz Koźniewski napisał niedawno w „Polityce": „Czy była to literatura już p o buncie? Nie jestem pewien, czy tak to należy określić. Była to raczej literatura, w której nigdy jeszcze nie doszło do buntu. To była od samego początku literatura zgody na rzeczywistość – rzeczywistość oglądaną przez pokoleniowe obsesje". Jakież to były obsesje? Jan Błoński, ojciec chrzestny pokolenia, dostrzegł cztery: obsesję odrębności pokoleniowej, nieszczęścia, erotyzmu i lumpenproletariatu. Myślę, że obsesja buntu była: nie mniej silna, choć raczej zakamuflowana.

W dziesięciolecie startu pokolenia, jeden z jego liderów, Stanisław Grochowiak, napisał:

„Bunt nie przemija, bunt się
ustatecznia,
Jest teraz w locie; dojrzałym,
dokolnym,
Jakim kolują doświadczone orły.
Bunt się uskrzydla tak — jak
udorzecznia.
Bo wpierw to było jakby piaskiem
w oczy,
Turniejem chłopców na słonecznej
plaży,
A dzisiaj ciężkie, teraz więcej waży".

Czy znajdziemy trafniejszy autokomentarz w kwestii buntu pokolenia „Współczesności"? Czy potrzebne zręczniejsze jego usankcjonowanie?

Po prostu bunt zbyt szybko wszedł w koleiny, jakie wyżłobiła rzeczywistość lat sześćdziesiątych. Zbyt szybko rzeczywistość ową zaakceptowano, koncentrując się na własnych karierach literackich. Początkowy rozmach zastąpiła postawa drobnego ciułacza. Łatwo dziś Koźniewskiemu nazywać ją lojalizmem.

Marzenie o buncie jednak pozostało. Tli się przez cały czas. Jest to piękne marzenie. Tak piękne, jak piękni byli ongiś dwudziestoletni.

PIĘKNI DWUDZIESTOLETNI

Dawni dwudziestoletni dobiegają dzisiaj pięćdziesiątki. W powojennej mitologii literackiej pozostali jednak niezmiennie „pięknymi dwudziestoletnimi" — jak to określił kiedyś meteor tego pokolenia, Marek Hłasko. Znamienne i pouczające są ich dzieje. O socrealizm ledwie się otarli, bo po prostu innej możliwości nie było. Uważając się za pokolenie oszukane, rozczarowane i frustracji pełne tęsknili do wartości trwałych, niepodważalnych. Wystarczy zajrzeć do pierwszych numerów powstałej w październiku 1956 roku „Współczesności", by na każdej niemal stronie znaleźć patetyczne słowa, dla podkreślenia wagi pisane dużą literą: Humanizm, Honor, Sumienie Artystyczne Pisarza, itd., itp. Tęsknoty swoje zaspokajali wszakże zupełnie na oślep: szukali u Amerykanów i u Francuzów, których gwałtownie zaczęto podówczas tłumaczyć, przewartościowywali Rosjan, zwrócili się w stronę XX-lecia międzywojennego, powielali podpatrzone wzory. Ich własna legenda powiada, że byli piękni. Ich następca stwierdzić musi, iż byli przede wszystkim sentymentalni i naiwni. Weryfikacja przyszła zresztą stosunkowo szybko — można ją mierzyć różnie, na przykład metamorfozami samej „Współczesności", nieporozumieniami wokół ich książek, podcinaniem żył w Paryżu (Marian Ośniałowski), czy zbyt dużą dozą tabletek nasennych w Wiesbaden (Marek Hłasko).

Gdy chłopcy z tego pokolenia wkraczali na literacką arenę, ich niekwestionowanym bardem był Marek Hłasko. Jak za panią matką powtarzali za nim utwory oparte na kontraście marzeń i brutalnej prawdy życia, starali się kompromitować rzeczywistość, gorzko i boleśnie drwili ze złudzeń. Obowiązywało wtedy następujące „credo": „Życie jest brudnym piekłem i ludzie wszystko gnoją. Największe przerażenie ogarnia wtedy, kiedy czujesz, że w twoim życiu zaczyna się coś dobrego. Przymykasz oczy i widzisz, jak wszystko idzie w błoto. Jak we wszystko wtrącają się podli i głupi, jak wszystko pomału umiera; jak wszystkiego trzeba będzie potem żałować...". Troski, kłopoty, trudności wydawały się nie do pokonania. — „Dlaczego szczęście mieszka tak daleko? — pytał „Pijany o 12 w południe".

Autentyczny bunt szybko stawał się modą skłonnością do smarowania wszystkiego czarnym lakierem. Początkowy liryzm zmieniał się w bezbrzeżną, rozdzierającą chandrę. Jedna z naśladowczyń Hłaski, Monika Kotowska, stwierdzała: „Dziś nie wierzę w Boga, ani w diabła. Ani w Marksa, ani w wojnę, ani w ogóle w nic nie wierzę". To wtedy zrobił karierę tytuł książki Magdy Lei „Umiejętność krzyku". Była to umiejętność żywiołowego wyrzucania z siebie prawdziwych i wydumanych problemów, przekazywania prawdziwych i wydumanych doświadczeń, otoczonych żalem. Do złego świata. Do wszystkich.

Owa — jak ją długo nazywano — czarna literatura była bez wątpienia najsilniejszym akcentem literackiego startu „pięknych dwudziestoletnich". Cechowała ją bezpośredniość i brak kamuflażu. Zupełnie inaczej niż na przykład z właściwym debiutem Janusza Krasińskiego „Jakie wielkie słońce" rozgrywającym się w więzieniach frankistowskiej Hiszpanii, czy w „Zmierzchu świata" Włodzimierza Odojewskiego, pokazującym polsko-ukraińsko-rosyjsko-żydowsko-niemieckie sprawy w latach wojny. Te dwa, jakże różne warsztatowo, zbiory opowiadań łączy jakaś uniwersalna wizja zagracenia, w którym odruchy ludzkie zredukowane zostały do chronienia najprostszych wartości życia: ruchu mięśni, funkcjonowania trzewi, zdolności postrzegawczej zmysłów. Jest to maksymalny program wówczas, gdy ludzie muszą umierać przez przypadek, chorobę i wreszcie, co najgorsze, przez planowy gwałt zadawany w imię instytucji, systemu i prawa. Ten protest zdecydowanie odbiegał od histerycznej umiejętności krzyku, sięgał dalej i głębiej, nabierał znaczenia moralitetu.

Wspominając po ćwierćwieczu niektóre książki z tamtych lat nie mogę pominąć pewnego mitu, który najwyraźniej może ujawnił się w dyskusji zapoczątkowanej na łamach „Współczesności" artykułem Stanisława Grochowiaka „Karabela zostanie na strychu". Otóż niektórzy liderzy pokolenia chcieli w nim (pokoleniu) widzieć ludzi raz na zawsze wyzwolonych z polskich kompleksów, racjonalistów, prężnych organizatorów (słowo menażer nie było jeszcze wtedy w tak powszechnym obiegu jak dzisiaj), niemal Europejczyków, jeśli wręcz nie obywateli świata. Ale rzeczywistość skrzeczała. I to rzeczywistość w tym przypadku wymierna utworami literackimi. Bo oto nieracjonalne podejście do świata, w którym miało się odznaczać pokolenie, cechuje najbardziej znaczące utwory, ale wypowiadanie sądu o świecie i człowieku poprzez emocje, poprzez na przykład podnoszenie do rangi wielkiej metafory marginesu społecznego (Marek Nowakowski i kontynuatorzy), poprzez turpistyczne obsesje, gloryfikację outsidera (Ireneusz Iredyński), czy nawet wizje apokaliptyczne.

Warto może posłużyć się skrótem myślowym: przemawiający w imieniu pokolenia zamierzali stworzyć współczesnego Hamleta, który po bliższej obserwacji okazał się bodaj Matysiakiem. Jego postawę charakteryzowała dewiza: Trzeba żyć, trzeba iść na kompromis, inaczej po prostu nie można. Nie da się ciągle udawać wybitnego człowieka, jeśli jest się zwykłym zjadaczem chleba. Po co bez przerwy rozstrzygać epokowe problemy, jeśli opis obyczajów może okazać się nie mniej przydatny. I tak z dużej chmury pisarskich ambicji zrodził się mały realizm. Miejsce niezadowolenia zajęło przystosowywanie się, przechodzące również w afirmację.

ŻÓŁWIE

„Żółwie" — to tytuł powieści Eugeniusza Kabatca, która ukazała się akurat w dziesiątą rocznicę startu pokolenia. Krytyka nazwała tę powieść „ambitną w zamyśle i wykonaniu biografią wewnętrzną literackiego pokolenia 56 oraz dokumentem jego niepokojów, przemyśleń i koncepcji programowych". Kabatc dokonał czegoś w rodzaju samosądu. Oskarżył siebie i rówieśników o zaniechanie pasowania się z Bogiem Generalnym, o poddanie się ciepłym promieniom słońca, o składanie hołdu cudzym bogom, przedwczesne znużenie, zgrubienie skóry, starzenie się i o wiele innych brzydkich rzeczy. Podobnie oskarżycielski wydźwięk, choć w zupełnie innym tonie, miała wydana w tym samym czasie książka Bernarda Sztajnerta „Grupa Pięciu".

Rozczarowanie sobą (czytaj: rówieśnikami) było dość powszechne. Wymownie zaświadcza to dyskusja pod znamiennym tytułem „Podzwonne pokoleniu". Dziesięć lat faktycznej czy tylko domniemanej wspólnoty kwitowano gorzkimi refleksjami. Oto próbka: pokolenie „uczestniczyło w procesie osiągania celów formalnych zamiast merytorycznych, nie tylko nie oczyściło atmosfery literackiej, ale ją w wielu wypadkach skomplikowało. Lokowało się w niejasnych i pozbawionych rzeczowych uzasadnień opozycjach, deklarowało ogólnikowe afirmacje, miotało się między stylem bycia lumpa i urzędnika — nie dostrzegało perspektyw dalekosiężnych, w których zawsze tkwią prawdziwe rewizje literatury, ani nie zweryfikowało tradycji, ani współczesności". I tak dalej, i tak dalej. Ktoś nawet nazwał wspomnianą dyskusję requiem dla pokolenia. Było to spostrzeżenie trafne, lecz nieprecyzyjne. Żegnano się bowiem tylko z pokoleniową wspólnotą, a raczej z jej manifestowaniem. Już dawno przecież przestała być ona użyteczna ze względów taktycznych. W rzeczywistości zaś nie istniała nigdy — przynajmniej w tym sensie, w jakim ją głoszono. Bo nie było przecież jedności. I dobrze, że głoszono. Bo dobitnie zostało to stwierdzone, że przestano wymagać pokoleniowych haraczy. Miało to dobry wpływ na przyśpieszenie indywidualnego rozwoju poszczególnych twórców.

TERAZ WIĘCEJ WAŻY

Przemawiali teraz inaczej — wolniej, bardziej rozważnie. Dostrzegali więcej i patrzyli głębiej. Niektórzy pojeździli trochę po świecie, innym wystarczyły do tego doświadczenia krajowe.

Po zlikwidowaniu na początku lat 70-tych ich pisma, zabrakło wyróżnika w zasadzie prawie już formalnego, sformułowanie pokolenie „Współczesności" występowało w publicystyce coraz rzadziej. Na arenę wkroczyły zresztą inne generacje — w otoczce skromniejszej i bez rozdmuchiwanych nadziei. Sprawy pokoleniowe ożywały rzadko, niemal wyłącznie wspomnieniowo czy jubileuszowo. Poczuwali się jako twórcy do wspólnoty znacznie szerszej niż tylko więź pokoleniowa.

Nie zawsze mogą pisać wprost, uciekali w tematykę historyczną, zagraniczną, albo w „Obłęd" (myślę tu o powieści Jerzego Krzysztonia, która notabene wygrała plebiscyt na najpopularniejszą książkę ubiegłego roku). Ale przecież w historycznych powieściach Władysława Terleckiego, wykorzystujących najchętniej problematykę powstania styczniowego, tyle odniesień do współczesności, iż z powodzeniem mówić można o paraboli. W powieściach Eugeniusza Kabatca, przyglądających się niektórym społecznym schorzeniom słonecznej Italii, nie brakło aluzji do naszego kraju. I wreszcie dramatyczna, nabrzmiała znaczeniowo, wizja lat 70-tych (ale nie tylko) w książce Krzysztonia.

Literatura rozwija się wzdłuż, nie w poprzek dziejów. Znaczy to, że widzimy ją w aspekcie historycznym, a nie pokoleniowym. Co w niczym nie zmienia faktu, iż tworzą ją kolejne pokolenia.

Przed pisarzami pokolenia, o którym była mowa, wiele jeszcze książek.

JERZY WILMAŃSKI

NOTATKI DO BIOGRAFII

Na ulicy mroczno
czerwonawe światło mruga dwuznacznie z latarni
Nieliczni przechodnie
śpies przed szklany ekran
po kolejną porcję prognozy pogody
która jest nadal zmienna i ciągle niepewna

Niepotrzebnie wychodzisz w ten mrok i samotność
W księgarni nie znajdziesz wierszy na które
czekałeś

Nie czekaj też na przystanku
tylko tramwaj nadjedzie
ale ona nie przyjdzie bo się zastarzała
wśród tych deszczów i wiosen
z każdym rokiem smutniejszych w koronie
siwizny

Twoje miłości zostały w szarych rękopisach
w niemodnych sukienkach i fryzurach retro

Twoje miłości zostały w zarysach rękopisach
w niemodnych metaforach i banalnym rymie

Nie wychodź na ulicę — jesteś niepotrzebny
nie potrafisz z wiarą mówić słów wytartych
nie potrafisz oszaleć zwariować i zgłupieć
nie umiesz już oskarżać chcesz być sprawiedliwy
racje chcesz wyważać kiedy racji tyle
że liczy się wyłącznie skandowanie tłumu

Tłum rozpozna samotność więc pozostań w domu
a tutaj cię dopadną wiosny i jesienie
wszystkie minione lata i stare miłości
książki zapomniane i nieprzeczytane
to wszystko czego nigdy nie umiałeś pojąć
i to co zrozumiałeś aby potem zdradzić

Tu dopadną cię wiersze zdmuchnięte z pamięci
przekonania znaczone piętnem niepewności
to w co wierzysz wierzyłeś albo chciałeś wierzyć
to co mądre co głupie i to co konieczne

Tego bilansu nigdy tłum ci nie zatwierdzi
to zbyt chimeryczne dwuznaczne i mgliste
Nie będziesz zwiastunem słonecznej pogody
więc zostań w kręgu lampy która z wolna gaśnie

A tam niech się palą wysokie latarnie
czerwonym światłem malując rumieńce
na twarzach tych co wiedzą
jak było jest będzie

Zostaw ich z tą pewnością która też skruszeje
na progu jesieni jeszcze nie nazwanej.
wiosna 1981

DWIE WOJNY SKALSKIEGO

2

Dalszy ciąg ze str. 1

nie przez UB. Ciągle wychodził z celi, bo dostawał paczki zabierane innym więźniom, a przy okazji donosił o tym, co działo się w celi. *„Ciągle wierzyli, że zaczniemy rozmawiać ze Śliwińskim o tym nieszczęsnym szpiegostwie. Wystarczyło jedno głupie zdanie z jego albo z mojej strony. Śliwiński, jak się potem zresztą okazało, był rzeczywiście namówiony do współpracy przez „dwójkę" w Londynie. Całe to szpiegostwo było zresztą śmieszne. Pokazano mi zdjęcia, które jemu rzekomo przekazywałem. Oblatywałem na nich samoloty. Zdjęcia te drukowała przedtem „Skrzydlata Polska".*

Do końca października nikt go już o nic nie pytał. Siedział tylko dwa dni w *„pawilonie Różańskiego"*, po kolana w szambie, za to, że przez okno celi rozmawiał ze znajomą. Czy jest dzień czy noc, domyślał się tylko po wzrastającym w ciągu dnia szumie. W październiku 1949 roku znów zaczęły się przesłuchania. Wtedy już bili. Wyciągali z celi w nocy. Twarzą do ściany. Stał tak, aż nogi mu puchły. Zadawali pytania, których w ogóle nie rozumiał. W malignie kazali podpisywać kompletne bzdury. Dzień po dniu robili z niego angielskiego rezydenta. Krzyczał do nich: *„Napiszcie, że zabiłem Sikorskiego!"*

„Próbowałem to wszystko zrozumieć. Myśmy wrócili z innego świata, byliśmy niepotrzebnymi, niewygodnymi świadkami, potencjalnymi wrogami. Jakże ci młodzi chłopcy na Zachodzie szybko dojrzewali. Ci z wiosek Podkarpacia, z Białostoczyzny, jeden drugiego opieprzał: *„Nie sraj na deskę, tylko siadaj na desce, nie jesteś w domu".* Wszędzie było czyściutko posprzątane. Jak oni dojrzale rozmawiali w pubach przy piwku. To był element postępowy, który wnosiłby coś nowego. To był element pozytywny, ponad 200 tysięcy ludzi. Największa szkoda się stała, że oni nie wrócili. Musiano ustawić społeczeństwo przeciwko tamtemu światu. I dlatego likwidowano nas z całą obłędną metodycznością. Niech pan, młody człowieku, nie pyta, dlaczego, bo nikt panu w Polsce nie odpowie. Czasami tylko ktoś utrafi w pobliże.

W kwietniu 1950 roku odbyła się rozprawa. Widaj, sędzia i prokurator w jednej osobie. Jakaś kobieta w mundurze majora KBW. Adwokat z urzędu. *„Apelował do mnie żebym mówił „prawdę"* — biedni byli ci „adwokaci". Śliwiński powiedział wtedy: *„O niczym nie wiedział. Niggdy nie był w żadnej siatce. Wszystko to nieprawda"* — to była wypowiedź świadka oskarżenia. Do celi odprowadzał go strażnik. *„Kto pana sądził?"* — zapytał. — *„Widaj". — „To sukinsyn. Jak pan dostanie dożywocie, to tak, jak by pan wyszedł na wolność. On daje tylko kary śmierci."*

I tak też się stało. Zapytałem tylko: *Panie sędzio, ile dostałem kar śmierci?*

— Nie panie sędzio, tylko wysoki sądzie. U nas się daje tylko jedną karę śmierci.

— To nieprawda, bo w mojej celi siedzą ludzie, co mają już kilka. Nie chciałbym być gorszy, bo też mam swoją ambicję.

— Proszę sobie z nas nie kpić.

Ale ja już ich miałem w dupie, było mi wszystko jedno".

* * *

Nie zgodził się pisać o ułaskawienie. *„Jakież ja miałem argumenty! Przyznać się, że byłem szpiegiem przeciw Polsce i prosić o łaskę, albo napisać o tym, co ze mną robili ludzie Różańskiego — do Różańskiego, czy Brystygerowej".* Próbowali go złamać, zależało im na tej prośbie. *„Piszcie, chcemy, żebyście wrócili do wojska. Zależy nam na was." — Ja już widzę, jak bardzo wam zależy, co wyście ze mną zrobili. Sami napiszcie".* Przychodzili do celi śmierci: *„Wychodzić!"* Prowadzili do pustego pomieszczenia i siedział tam, godzina, dwie, trzy, dobę. Po czym przyprowadzano go do celi z powrotem. Za każdym razem myślał, że wychodzi po raz ostatni. Tak spędził rok.

W 1974 roku składał znajomemu na Nowy Rok życzenia przez telefon. I wtedy tamten się rozpłakał: *„Niech pan do mnie koniecznie przyjdzie. Powiem, komu zawdzięcza pan życie".* Dwaj starsi panowie na emeryturze usiedli naprzeciwko siebie. To, co mieli do powiedzenia, napisali na kartkach. Później wymienili się nimi. Obydwie brzmiały identycznie: *„Zawdzięczam sam sobie, że do niczego się nie przyznałem i odrzuciłem możliwość pisania prośby o ułaskawienie"* — napisał Skalski.

— *„Ma pan rację* — potwierdził tamten. *Nikt nie wiedział o co tu chodzi. Co to ma oznaczać.. Ta niepewność ocaliła panu życie".*

Po roku przyszło ułaskawienie, podpisane ręką *Bieruta*. Karę śmierci zamienili mu na dożywocie. W kwietniu 1952 roku przewieziono go w transporcie 150 więźniów do Rawicza. W jakiś czas później przeniesiono go do wspólnej celi. Siedziało tam ponad 200 osób, w tym m. in. komendant gestapo z okresu powstania warszawskiego, gen. *Geibel*. Kiedy opowiedziano mu historię *Skalskiego*, powiedział: *„Jeżeli wsadzają tu naszych przeciwników, takich jak on, to to nie jest więzienie. My wszyscy jesteśmy w domu wariatów. To się długo w Polsce nie utrzyma".* W kilka dni później powieszono go. Ale Niemców w celi było więcej. Z jednym z nich, żandarmem, *Skalski* sypiał pod jednym kocem, bo było zimno. Tamten opowiadał mu, jak szczepić gruszki, żeby rosły dorodnie.

W Rawiczu przeżył najcięższy okres. W więzieniu panował głód: cebula, cukier, brukiew, kapusta, 150 papierosów na miesiąc. Szykany nie ustępowały. Znów siedział po karcerach. Zimna kasza raz na trzy dni. Bał się gruźlicy, więc nauczył się spać na dwu drewnianych trepach. Jeden wkładał pod bok, a drugi pod pachę. Tak spędził 14 dni. Pytam, za co tam siedział. Do tej pory nie wie, za co. Wszędzie było pełno kapusiów. Widocznie musiał powiedzieć coś nie tak. Przy normalnej wadze 70 kg ważył wówczas 48. Przyszło osłabienie, ogólna anemia organizmu, a za nią kurza ślepota. *„Wtedy były akurat wybory Eisenhowera na prezydenta. Pamiętam to dokładnie, bo liczyliśmy się z tym, że będzie amnestia. O tym, że była wojna w Korei, w ogóle nie wiedziałem."*

* * *

Czas jak gdyby się zatrzymał. Człowiek może się przyzwyczaić do wszystkiego. Nawet tam istniała szara codzienność, odmierzana rytmem więziennego regulaminu. Dużo czasu siedział w pojedynkach. Sam ze sobą. Co robił wtedy?

„Zawsze starałem się znaleźć jakiś problem do myślenia, tak, żeby głowa była zajęta, wtedy czas płynął szybciej. Przypominałem sobie nazwy miast i miasteczek, które znałem. Robiłem w myślach projekty. Na przykład Dubno, gdzie spędziłem 10 lat. Miasteczko otoczone wokół bagnami i rzekami. Dużo zwierzyny i ryb, dzikie kaczki można strzelać na ulicy. Przebudowywałem je miesiącami. Wytyczyłem w myślach nowe drogi, wyburzałem domy, planowałem szkoły i boiska sportowe. Wymyślałem oznaczenia i lokalizacje knajp, budowałem kanały i węzły kolejowe, myślałem o tym tak długo, aż zasypiałem ze zmęczenia".

Myślał także bardziej pragmatycznie. Że to musi się kiedyś skończyć, bo dzieje się wbrew prawu, wbrew logice, wbrew naturze. Ci sami, co siedzieli w Oświęcimiu, siedzieli teraz razem z nim. Siedzieli komuniści i faszyści. *Gomułkowcy* i bandyci *UPA*, żołnierze *AK* i zwykli złodzieje, szefowie sztabów, generałowie i kaprale. Siedzieli socjaliści i ludzie ze Stronnictwa Pracy, filozofowie i robotnicy, inżynierowie i księża. Często wspominał tę galerię postaci. Taki na przykład *Zygmunt Zygmunt*, nazwisko takie samo, jak imię. Komunista od urodzenia, walczył w międzynarodowych brygadach w Hiszpanii przeciwko gen. *Franco* — skazany na 8 lat więzienia za faszyzm. Wspaniali chłopcy z batalionów: *„Baszta"*, *„Miotła"*, *„Zośka"*. *Stefan Greenwood*, 64-letni przemysłowiec z Łodzi — wierzył w reinkarnację dusz i wielką, wspaniałą Polskę. Albo taki ksiądz *Kaczyński* — minister oświaty w rządzie *Sikorskiego*, poseł na Sejm. Siedział z nim 9 miesięcy. Przez cały ten czas *Kaczyński* robił im uniwersyteckie wykłady, niezależnie od zapatrywań — filozof i światły człowiek. Umarł na zawał serca. Albo taki bezimienny staruszek-ksiądz, który rozdawał swoje paczki chorym współwięźniom i prowadził modlitwy w celi, za co ciągle siedział po karcerach. Kiedy jemu zabraniali ,to robił to zwykły więzień, który znał liturgię.

Zawsze wieczorem modliliśmy się wszyscy. To było zwykłe „Ojcze nasz". Siedział z nami Żyd wyznania mojżeszowego. Któregoś dnia, przed modlitwą, mówi: „Jestem Żydem, ale nigdy po żydowsku się nie modliłem. Tylko jako dziecko chodziłem do synagogi. Nie umiem się modlić. Czy pozwolicie razem z wami odmawiać pacierz." Nie było sprzeciwu.

Tyle godzin, tyle dni, tyle lat. Opowiadali sobie filmy, książki, wspomnienia. Ktoś znał całego *„Pana Tadeusza"* i recytował co jakiś czas. Leśnik, inżynier *Mroczyk*, znał z kolei całą Trylogię na pamięć, rozdziałami. Najgorzej było żonatym. *„Biłem po twarzy otwartą ręką. Przestań gadać. Wszystko to wyssane z palca. Wszystko to przejdzie, tylko nie trzeba się załamywać. Nie, psychicznych kłopotów z głową nie miałem nigdy".*

— Co pana trzymało przy życiu przez te lata?

„Wierzyłem w Boga i we własną niewinność. Nigdy nie opuszczała mnie nadzieja, że w końcu wyjdę. Że to musi się kiedyś skończyć. Ten cyrk nie mógł przecież trwać wiecznie. Przypominałem sobie wówczas scenkę, zaoberwowaną w Warszawie, w 1948 roku. Na rogu Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich przechodził pochód, a przy rozbiórce domów pracowali robotnicy. Jeden z nich powiedział do drugiego: „Zobacz, pędzą ludzi. Zamiast do roboty, albo dać im odpocząć, to znów muszą obcasy zbijać. Ty, Antek, jak długo robotnik będzie trzymał wykręconą rękę. Jak ją wyprostuje, jak im przyrżnie kiedyś".

Foto: R. Łucyszyn

„Zawdzięczam sam sobie, że do niczego się nie przyznałem i odrzuciłem możliwość pisania prośby o ułaskawienie" — napisał Skalski.

Pierwsze widzenie miał po trzech latach. Odwiedzała go matka. *„Jest takie ładne lato. A ty zawsze lubiłeś słońce, pływanie, sporty. A teraz, popatrz, musisz siedzieć w tych murach".* Któregoś dnia, w niedzielę, wyciągnęli go z celi. Prowadzą na czwarte piętro. W sali siedzi ich sześciu.

„To byli oddziałowi. Będą bili — myślałem.

— Siadajcie, Skalski. Palicie?

— Palę.

— To palcie. I opowiadajcie te wszystkie swoje wyczyny na wojnie.

Paliłem i opowiadałem. Jeden ze strażników we wrześniu 1939 roku walczył w Armii „Pomorze", dogadaliśmy się, że w tych samych rejonach, co ja. O 2 w nocy pukał do mojej celi. Podchodziłem na palcach. Szeptał: *„Skalski, oni chcą cię nerwowo wykończyć. Ty się z nimi nie kłóć. Siedź cicho, nie odzywaj się."* Po tych wojennych opowieściach, przy posiłkach oddziałowi mówili: *„Źle wyglądasz, głodny jesteś!"* A do dyżurnych: *„Dawajcie podwójną porcję!"* Byli już bardziej ludzcy.

* * *

W 1953 roku wyprowadzono ich na codzienny spacer po dziedzińcu. Przy domku naczelnika był maszt a na nim powiewała flaga spuszczona do połowy, z czarną wstążką. *„Zdechł jakiś sukinsyn"* — powtarzali więźniowie, wzruszając ramionami. *Skalski* dopiero u fryzjera, w kilka dni później, zobaczył gazetę ze zdjęciem *Stalina* w czarnych obwódkach.

„Pierwszym sygnałem, że idzie nowe, było wejście do celi strażnika z okrzykiem: *„Kto chce prenumerować gazety?! Kto chce wypożyczać książki z biblioteki?!"* W lipcu, jeszcze tego samego roku, przyjechała do więzienia komisja prokuratorów. Przesłuchiwali wszystkich. Czuliśmy z zadawanych pytań, że zaczynają się dochodzenia przeciwko tym, którzy nas pozamykali. *„Proszę wszystko napisać. Kto pana bił, kiedy, jak. Nic panu nie grozi, proszę napisać całą prawdę".* Napisałem 15 stron. Kiedy przeczytał to oddziałowy Kukawka, to zaczął mnie przepraszać, że się źle do mnie odnosił. Mówił, że on w to wszystko wierzył i dlatego...

Już po wyjściu z więzienia, w 1957 roku, wezwano mnie do Prokuratury Generalnej w Warszawie. Nie znam człowieka, który ze mną rozmawiał, ale pamiętam rozmowę.

— Miał pan styczność z Różańskim. Chcemy, żeby pan zeznawał w jego procesie.

— Nie będę nigdzie zeznawał. Wszystko napisałem w więzieniu. Proszę wynająć rejenta i zrobić odpisy. Nie będę w bagnie brudził swego nazwiska.

— To aspołeczna postawa z pana strony.

— Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Nie wiem, czy jutro zamiast pana nie usiądzie tu znowu Różański i z powrotem zamkniecie mnie na Rakowiecką.

* * *

W grudniu 1954 roku przeniesiono go znowu do pojedynki. Ludzie tysiącami zaczęli wychodzić z więzień. Ale on siedział jeszcze trzy lata. Widział, jak ludzie z wyrokami dożywocia padali zemdleni, dowiadując się o uniewinnieniach. Lekarze biegali ze strzykawkami. W 1955 roku długo siedział w pojedynkach. Dali mu papier i ołówek. W ciągu 6 tygodni napisał *„Czarne krzyże nad Polską"* — książkę o polskim lotnictwie w kampanii wrześniowej w 1939 roku. Kto z jej czytelników wie, że narodziła się w więziennej celi? Nie ma tego ani na skrzydełku, ani w środku książki. Do relacji *Moczarskiego* musiało upłynąć jeszcze wiele lat. W lutym 1956 roku zastrajkował, ogłaszając głodówkę. Wezwano go do naczelnika.

— Dlaczego strajkujecie?

— Panie naczelniku, czuję, że wyjdę na wolność. Nie chcę siedzieć w pojedynkach. Chcę pracować, żeby odzyskać fizyczne siły. Mogę wynosić kible, wyrzucać śmieci, wszystko jedno, co.

— Macie siódemkę za szpiegostwo. Ci, co mieli wyjść, to już wyszli.

Naczelnik zgodził się jednak i *Skalski* wynosił kible. Ale fizycznie czuł się coraz lepiej. Trafił nawet do pracy w kuchni, ale nie trwało to długo. *„Buntujecie więźniów, mówicie im, że już wszystko wolno".* Znów trafił na miesiąc do pojedynki. Od tej pory jednak wypadki toczyły się szybko. 9 kwietnia 1956 roku, po południu, wezwano go i pokazano papier. Wojskowy prokurator naczelny wniósł rewizję procesu... postulował zmianę artykułu nr 7, zastosowanie amnestii i przygotowanie więźnia do zwolnienia. Sąd Najwyższy nie uznał jednak zalecenia. Nadzwyczajna rozprawa tajna miała się odbyć 11 kwietnia 1956 roku, o godzinie 9 rano. *„To były najdłuższe dwa dni w moim życiu".*

— Jak pan patrzy dzisiaj na to wszystko, co się stało w tamtych latach?

„Mój przyjaciel, Francuz, jeden z asów RAF, Pierre Clossterman, napisał książkę pt. „Wielki cyrk". Napisał w niej, że młodzi Francuzi walczyli wszędzie, aby ocalić honor Francji, podnieść ją po klęsce 40 roku. Walczyli i ginęli za ideały. Ale po wojnie, po zwycięstwie, Francja stała się garnkiem gotującej zupy, w którym na wierzch wypłynęły brudy. Odszedł więc do cywila, bo nie mógł się pogodzić z tym, co się działo. Porzucił lotnictwo — które ukochał. W Polsce, po 48 roku, stało się podobnie. Doszły do głosu szumowiny i męty, a ja znalazłem się na dnie tego garnka. Kiedy wyszedłem z więzienia i widziałem samolot, odwracałem się tyłem. Nie chciałem mieć nic wspólnego z mundurem. Później przyszedł Październik i Gomułka. Wezwał mnie do siebie Spychalski. Wtedy jeszcze bez munduru, po cywilnemu. Rozmawialiśmy długo, bardzo długo. Przekonywał, namawiał, że wszystko będzie inaczej, że trzeba pomóc Polsce w tym chaosie. „W każdej chwili, jak pan tylko zechce odejść z wojska, proszę tylko do mnie zameldować. Ja pana natychmiast zwolnię" — mówił. Myślałem, cholera, może rzeczywiście spróbuję. Wróciłem do dowództwa wojsk lotniczych."

Resztę znamy już z wywiadów, artykułów i audycji.

* * *

Tamten cyrk tkwi jednak w nim głęboko. Najdłuższe dwa dni w życiu ciągnęły się bez końca. Dopiero 20 kwietnia, kiedy wystawiał przed celę taboret, ze złożoną na nim kostką ubrania, strażnik pochylił się nad nim i powiedział: *„Tylko morda w kubeł, i nie gadać. Dzisiaj wyjdziecie na wolność."* On już wiedział. Wezwali go jednak dopiero o godzinie 15. Kazali podpisać papier, że nigdy nie będzie mówił o tym, co działo się w więzieniu. Podpisał. Potem chciał pobić magazyniera, bo ten z kolei nie chciał wydać mu rękopisu książki. *„Człowieku, dawaj to, ale zaraz. Przecież ja osiem lat siedziałem tu za darmo. To nie jest wasze, ale moje"* — wrzasnął na niego. Tamten zbladł. *„Macie, bierzcie te swoje papiery!"*. Po wyjściu za bramę skierował się na dworzec. Biegł za nim jakiś człowiek, krzycząc: *Skalski! Skalski!*

„Patrzę, a to jeden z moich oddziałowych. Wyściskał mnie i wycałował. „Rzuciłem tę robotę — mówi. — Teraz pracuję w fabryce". Zaprowadził mnie na dworzec, postawił pierwsze piwo. „Trzymaj się, jeszcze będziemy żyli, jeszcze to wszystko minie" — powiedział.

Wsiadłem do pociągu. Konduktorem był stary, siwy lwowiak. Zobaczył moją lotniczą skórę. (Tę samą, w której mnie aresztowano) podarte portki munduru (bo siedziałem w nim przez pierwsze dwa lata) i mówi:

— Ileś lat, synu, siedział?

— Osiem.

— Zaraz się znajdzie miejsce. Ludzie zrobić miejsce, bo tu zasłużeni jadą.

Po czym sam usiadł:

— No, synu, opowiadaj.

Opowiadał do samej Warszawy.

Cały przedział kiwał głowami ze zrozumieniem.

MAREK MILLER

NOWE STARE DRUKI

Tadeusz Tuszewski — nestor wykładowców ASP w Warszawie, pracujący na tej uczelni od 1936 r. — należy do najwybitniejszych w Polsce specjalistów w dziedzinie konserwacji starych druków i grafiki. Do niego zwrócono się właśnie o zabezpieczenie najcenniejszych zabytków narodowego piśmiennictwa: dzieł Chopina, Norwida, Żeromskiego...

— Wybitni zagraniczni specjaliści z dziedziny konserwacji książki, oglądając dział cymeliów naszych czołowych książnic, wysoko oceniają przeprowadzone przez pana zabiegi konserwatorskie. Ile dawnych dzieł uratował pan od postępującego zniszczenia?

— Kilka tysięcy. Zajmowałem się m. in. zespołem manuskryptów Chopina, jednym z trzech pierwszych rękopisów „Bogurodzicy", rękopisami „De revolutionibus" Mikołaja Kopernika, Kroniką Marcina Kromera, Biblią Wujka. Z dzieł sztuki ikonograficznej — rysunkami i rycinami Rubensa, Rembrandta, Duerera, van Dycka, Goyi, a z t. órców polskich — Matejki, Wyspiańskiego, Orłowskiego, Mehoffera.

— Jak przebiegała pańska droga do tego zawodu?

— Studiowałem w latach 1931—1936 w warszawskeij ASP na Wydziale Grafiki u prof. Edmunda Bartłomiejczyka, prowadzącego grafikę użytkową, dyplom zaś robiłem z drzeworytu artystycznego u Leona Wyczółkowskiego.

W jaki sposób zetknął się pan z konserwacją książki, dziedziną wówczas nie istniejącą w Polsce?

— Bezpośrednio po studiach zostałem asystentem w pracowni liternictwa u prof. Bonawentury Lenarta. Wkrótce potem otrzymałem stypendium na studia w Instytucie Patologii Książki w Rzymie. W tajniki konserwacji wprowadził mnie prof. Lenart, z k. rym współpracowałem podczas ostatniej wojny.

— Kiedy powstała pracownia konserwacji książki w ASP?

— Wkrótce po wojnie. Pamiętam, jak wobec całkowitego zniszczenia w Warszawie sprzętu służącego do prac konserwatorskich książek, jeździłem na dachu pociągu do Wrocławia w w poszukiwaniu tego rodzaju urządzeń. Obecnie prowadzona przeze mnie katedra konserwacji starych druków i grafiki ma dwie pracownie: starych druków i rękopisów oraz grafiki i rysunku.

— Ma pan opinię bardzo wymagającego, wręcz twardego nauczyciela...

— Jestem poznaniakiem i to poznaniakiem starej daty, dlatego cenię i wymagam u przyszłego konserwatora takich cech, jak odpowiedzialność, poważne traktowanie pracy. Są to cechy niezbędne w naszej specjalności, kiedy powierza się nam zabytki o bezcennej wartości, skarby kultury narodowej. Konserwatorów jest wciąż za mało i nie jesteśmy w stanie zabezpieczyć nawet najcenniejszych obiektów. Jeśli widzę, że kandydat na konserwatora nie spełnia odpowiednich warunków, stanowczo odradzam mu zajmowanie się tą dziedziną. Dodam tu: dla dobra kultury narodowej i jak sądzę również dla jego własnego dobra...

— Jakie warunki powinien spełniać pański student?

— Mieć uzdolnienia graficzne, a poza tym szacunek i miłość do starych druków. Taki człowiek nigdy nie pozwoli sobie na niechlujną robotę, na „ułatwianie" sobie pracy.

— Ilu studentów ukończyło specjalizację konserwacji papieru od chwili powstania pracowni?

— Blisko 20 osób, a więc za mało w stosunku do potrzeb. Pracują w Przedsiębiorstwie Pracownie Konserwacji Zabytków w Warszawie, w Bibliotece Narodowej i Muzeum Narodowym. A przydaliby się także w Archiwum Akt Dawnych, w wielu innych bibliotekach i muzeach. W tym roku miałem rekordową liczbę absolwentów, bo aż 10 osób, w przyszłym zaś — co mniej nawet trochę cieszy — tylko jedną.

— Podobno chce się pan rozstać z uczelnią i przejść na emeryturę...

— Powinienem to już dawno zrobić, ale wówczas katedra musiałaby zawiesić swoją działalność. Nie ma w tej chwili kogo w niej zostawić. Od lat nie mogę się doprosić o etaty asystenckie.

— Co dają studia w pańskiej pracowni?

— Tylko i wyłącznie zasadnicze reguły postępowania ze starymi drukami, ogólną wiedzę i umiejętności. Jedną z podstawowych trudności w tej dziedzinie jest to, że nie ma w niej miejsca na utarte, szablonowe sposoby działania. Każda praca to nowy i odmienny od poprzedniego przypadek, wielka i niepowtarzalna przygoda z książką, z dziełem sztuki. Dlatego ta praca tak bardzo potrafi wciągać.

Rozmawiał:
MAREK GAJEWSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

Różne są tych odejść i ucieczek powody. Niektóre w bardzo określonych sytuacjach wydawały się koniecznością. Pamiętajmy jednak i o tym, że historia z właściwą sobie przekorą lubi zacierać szczegóły, że je po drodze gubi, eliminuje, że w „kalendarzach życia i twórczości" oraz „historiach scen", pozostają jedynie decyzje i fakty, że motywy przestają się liczyć, że liczyć będzie się tylko to, iż odeszli z Łodzi, tworząc listę nieobecności. Stwierdźmy to, by uświadomiwszy sobie co należy, przystąpić do położenia kresu owemu zjawisku, na którego zahamowanie jedynym skutecznym sposobem jest podjęcie pozytywnych działań.

Kierunek tych działań wyznaczyć winna analiza przyczyn, dla których wybitni artyści odchodzą z Łodzi. Tej analizy dokonać powinny przede wszystkim władze naszego miasta, ale także środowiska twórcze, bo i one ponoszą przez to straty, których uświadomienie bolesne jest w takim samym stopniu zarówno dla odbiorców dóbr kultury, jak i dla ich animatorów i twórców. Podjęcie próby takiej analizy odradzać będą ci, którzy twierdzą, iż zadaniem artysty jest wieczna wędrówka, że taki to już zawód, że artysta (dla swego własnego dobra) winien zmieniać sceny i zespoły, a zespołom nie tylko nie szkodzą częste zmiany dyrektorów i kierowników artystycznych, ale wręcz pomagają, zmuszając coraz innymi wymaganiami do pełnej aktywności twórczej. Empiria dowodzi, że trudno o bardziej błędne przekonania.

Nie jest przecież celem artysty „wieczne wędrowanie" bo podstawowym jego zadaniem jest twórczość. Owszem, tak zwana mała stabilizacja, przeciwko której słusznie protestują wszyscy żądający od ludzi sztuki, by ich obecność w życiu społeczeństwa miała charakter dynamiczny, rodzi przyzwyczajenia i schematyzm działań, ale brak owej szczególnej stabilizacji, która pozwala w spokoju i poczuciu bezpieczeństwa — oraz co ważne — w przekonaniu o społecznej przydatności, realizować wcześniej wykreowane wizje, jest równie zgubny i równie wielkie przynosi straty.

I tu właśnie trzeba powiedzieć wyraźnie, że strat poniesionych przez kulturę i jej odbiorców nie da się odrobić nigdy, w żadnej ani bliższej ani dalszej, choćby i najbardziej świetlanej przyszłości. Zdać sobie bowiem trzeba sprawę, że już nigdy nie obejrzymy przedstawień, które dla nas mogły się odbyć, i ról, które dla nas mogły być w nich stworzone, że nigdy nie usłyszymy nie zagranych tutaj kiedyś koncertów. To zaś rodzi żal za tym co było możliwe, a co nie stało się nigdy, i co nigdy już się nie dokona; czego pozbawiły nas wyroki losu i nie zawsze słuszne decyzje, co stało się skutkiem nie do końca przemyślanych działań, postanowień, rozstrzygnięć i opinii.

Sprzyjająca twórczości atmosfera jest w moim przekonaniu warunkiem niezbędnym dla powodzenia wszelkich przedsięwzięć artystycznych i o nią właśnie wszystkie zainteresowane strony powinny zabiegać, od każdej bowiem ze stron czynnie bądź biernie zaangażowanych w sprawę kultury zależy poziom i jakość tego naprawdę niezbędnego elementu naszego życia. Na tę sprzyjającą atmosferę składa się cały szereg elementów i żaden z nich nie może ujść naszej uwadze, dopiero bowiem ich suma przynieść może pożądane efekty. Podstawowymi czynnikami są warunki pracy twórców i zespołów artystycznych, poczucie społecznej przydatności ich istnienia i działań, twórcza atmosfera w zespołach artystycznych, kompetencja i odpowiedzialność ośrodków opiniotwórczych i wreszcie rozważne, dyktowane wysokimi wymaganiami, ale sprawiedliwe, stosowanie znaczących miar wartości. Świadoma zaś percepcja dzieł artystycznych, sympatia i zainteresowanie odbiorców dóbr kultury dla jej twórców i owoców ich artystycznych działań jest elementem tak oczywistym, że właściwie winien pozostać on poza dyskusją. Z drugiej jednak strony subiektywny charakter tego elementu, stanowiącego przecież podstawę niezbędnego w tych dziedzinach sztuki partnerstwa twórców i adresatów owych dóbr każe zwrócić nań równie baczną uwagę, jako na niezbędny warunek autentyzmu i prawdziwego życia każdej sztuki.

Jak z tą sprzyjającą atmosferą i jej poszczególnymi elementami bywało ostatnio w Łodzi? No cóż, różnie. Na ogół jednak nie najlepiej.

Warunki pracy artystów i zespołów pozostawiają wiele do życzenia, i to zarówno w ogólnopolskiej skali „makro", jak i w łódzkim wymiarze „mikro" tego samego problemu. Wbrew powszechnie panującym opiniom, ludzie sztuki nie zarabiają tych bajońskich kwot, o które posądzani są przez „zjadaczy chleba". Najwyższa, podstawowa pensja aktora, na której przyznanie wyrazić musi zgodę Ministerstwo Kultury i Sztuki wynosi siedem tysięcy złotych. Ta gaża — zaszczyt, zwana w środowisku teatralnym gażą „ministerialną", przyznawana bywa aktorom najwybitniejszym, których talent udokumentowany jest wybitnymi osiągnięciami, wiążącymi się zazwyczaj z wielkim wieloletnim doświadczeniem. Niewielu artystów scen łódzkich dostąpiło tego zaszczytu (który np. operatorowi dźwigu wydać się musi dosyć zabawny) i choć problem płac całego środowiska teatralnego, jest zatem „problemem „makro", to jednak wystarczy skonfrontować go z faktem, iż zaszczyt ten częściej (i jakby gęściej) spływa na głowy artystów warszawskich, by począł stawać się problemem „mikro". Pensja podstawowa nie jest oczywiście jedynym źródłem dochodów ludzi teatru, wszak istnieją w Łodzi wytwórnie filmowe, radio, dubbling, telewizja; to prawda. Tyle tylko, że na planie kręconych w Łodzi filmów najczęściej spotyka się aktorów warszawskich, bo Warszawa jest miarą wartości, Warszawa czyni lepszymi, Warszawa przydaje talentu... Być może, nie śmiem kwestionować... Zastanawiam się tylko czemu tak szeroko korzysta ona z zasobów kadrowych „prowincji", czemu łódzka, i to bynajmniej nie najusilniej „eksploatowana" w naszym mieście aktorka zdobywa na liczącym się już festiwalu filmowym nagrodę za najlepszą rolę kobiecą.... czemu....

Istotnym elementem warunków życia i pracy artysty (a w tej kwestii nie różni się on niczym od „zjadacza chleba"), jest kwestia mieszkań. Tu wystarczyć powinny fakty. Przytoczę tylko kilka: w tzw. domu aktora przy ul. Roosevelta całkiem niedawno straszyły myszy, a ogrzewanie nie było najmocniejszą stroną starych pieców; mieszkań dla swoich pracowników, niemal nie dających się zastąpić, Teatr Wielki dostał tak dużo, że w bloku przy ul. Górniczej we wspólnych mieszkaniach przychodziło ćwiczyć, odpoczywać po wyczerpujących próbach i przygotowywać się do przedstawień muzykom i tancerzom, instrumentalistom i wokalistom, ludziom o różnych upodobaniach i temperamentach. Jeden z naprawdę wielkich dyrektorów największej łódzkiej sceny, ogromnymi staraniami władz „ściągnięty" do naszego miasta, przez kilka bodaj miesięcy u tych samych władz nie mógł doprosić się obiecanego mu w rozmowach wstępnych mieszkania, a jeden z jego kolejnych następców znając te doświadczenia zrezygnował z usilnych na początku starań o mieszkanie, kontentując się pokoikiem w hotelu aktorskim, a w szybkim czasie, wobec niespełnienia przez władze szeregu innych obietnic, zrezygnował z pracy w naszym mieście i przeniósł się... do Warszawy oczywiście.

Lista nieobecności

Warunki pracy artystów i zespołów to także stan techniczny obiektów kulturalnych i środki na działalność artystyczną. Nad stanem technicznym większości obiektów kulturalnych Łodzi można jedynie zapłakać. Pękający (dosłownie — zwłaszcza od strony stropów) gmach filharmonii, kaleki, bo do niedawna pozbawiony magazynów, a zatem zmuszony do ograniczania ilości premier i pozycji pozostających w stałym repertuarze Teatr Wielki; nadto krytyczny stan techniczny Teatru Nowego, ciasny i bardzo niewygodny (szczególnie od strony zaplecza i kulis) Teatr Powszechny, uczepiona wyłącznie tzw. słowa honoru widownia i scena Teatru „7.15", odmawiające artyście niezbędnych warunków zaplecze Teatru im. J. Tuwima, zawstydzone własną ciasnotą garderoby Teatru Muzycznego, przez kilka lat, które minęły od dnia jej narodzin pozbawiona własnej siedziby Szkoła Baletowa, a przy tym permanentny brak środków na inwestycje i remonty — oto bilans i ilustracja kwestii warunków....

Kto mógł i umiał ratował się w ostatnich latach bardzo oszczędnymi remontami, gospodarskim łataniem dziur, maskowaniem pęknięć i rysów, pomysłami i fortelem. Niewiele mógł Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi. Muszę wierzyć, że chciał i umiał. Muszę, bo nie jestem pewna. Nie jestem pewna czy właściwie dysponował pieniędzmi inwestując je w festiwal filmów reklamowych (imprezę wręcz kuriozalną, gdy reklamować nie było już co, i po co, a i potęgą w tej dziedzinie dziesiątej muzy nie jesteśmy), a odmawiając ich na pokrycie kosztów inscenizacji wybitnemu reżyserowi, którego doświadczenie i talent były w takim samym stopniu gwarancją powodzenia jego przedsięwzięć, tak jak jego zamiary — właściwą lokatą kapitału. Nie jestem pewna, czy tenże Wydział Kultury i Sztuki, korzystał ze swoich uprawnień, dopełniając tym samym także i obowiązku sprawowania merytorycznego nadzoru nad działalnością instytucji artystycznych i placówek kulturalnych. Nie jestem pewna, bo pozwalam sobie sądzić, że gdyby nadzór taki sprawował, to w kilku co najmniej placówkach artystycznych nie popełniono by tych błędów (np. repertuarowych, obsadowych, organizacyjnych), które później stały się przyczyną wielu dezintegrujących środowisko wypadków, które wiele niepotrzebnych, a przynoszących szkodę burz wywołały w zespołach, rodząc w konsekwencji sytuacje niemal skandaliczne, na których odwrócenie było już zazwyczaj za późno.

Nie da się zatem niestety stwierdzić, iż by warunek stworzenia ludziom sztuki godziwych warunków pracy i życia został przez Łódź spełniony. Jakość warunków pracy, choć oczywiście nie tylko ona, ma wpływ na charakter związków i atmosferę wewnątrz zespołów artystycznych. W największym jednak stopniu istnienie twórczej atmosfery zależy od psychicznej, artystycznej i etycznej kondycji członków zespołu. Nie chcąc wchodzić w szczegóły postaw twórczych, społecznych i moralnych członków łódzkich zespołów artystycznych, stwierdzić jednak muszę, iż ogólnie rozumiane środowisko artystyczne naszego miasta tak dalece wydaje się zdezintegrowane, że ta dezintegracja stała się przyczyną wielu sytuacji, w których z jednej strony zespoły nasze znalazły się wbrew sobie i własnym interesom twórczym, z drugiej zaś — jakby pławiły się w tych sytuacjach z rozkoszą równą tej, jaką mogłyby przynieść nie zaistniałe doznania artystyczne. Dezintegracja osłabiająca siłę działania i nawet argumentacji, sprawiła że zespoły nie protestowały przeciwko chybionym pomysłom repertuarowym, oczywistym, a dokonywanym na nich szatańskim eksperymentom artystycznym, przeciwko miałkości środowiskowego życia, ani przeciwko biernemu charakterowi społecznego odbioru dzieł sztuki.

Zdezintegrowane środowiska nader rzadko podrywały się do lotu poza swoje macierzyste placówki, ale — co jest ich winą największą — pozwalały czynić z sobą to, co z nimi czyniono. Czuły się skrępowane, a przecież pozwalały się krępować, spychane na margines życia miasta, a przecież same pozwoliły się tam zepchnąć, zubożone materialnie, a przecież same zubażające się artystycznie w tysiącach „chałtur" dumnie zwanych koncertami (pół godziny — cała stawka — o połowę mniej potencjalnego szacunku widza — przy pozorach danej mu satysfakcji — w zamian za pozory uznania). W pogoniach za chałturą zniknęły środowiskowe więzy, na jej szlakach czaiła się rutyna i sztampa i bezpowrotnie ginął czas potrzebny na przygotowanie roli, na połębienie umiejętności warsztatowych, na refleksję, na to np. by spróbować walczyć o pozostanie w Łodzi młodego, zdolnego reżysera, by zrozumieć jego chęć stworzenia własnego modelu teatru.

Tak, nikt z nas nie jest bez winy. A publiczność? No cóż, ma i ona w niej swój udział. Łódzka publiczność jest niewątpliwie trudna, ale łódzka publiczność to ciężko pracujący ludzie, którym w korzystaniu z dóbr kultury nie sprzyja ani fatalna komunikacja, ani uboga reklama, nie mówiąc już o innych, przesuwających pójście do teatru problemach. Łódzka publiczność przychodzi do teatrów niezbyt tłumnie (do filharmonii ze strachem o własne i muzyków bezpieczeństwo chodzi właściwie tylko garstka zdesperowanych entuzjastów), bez żadnej o teatrze wiedzy, ogląda więc życzliwie, acz bez entuzjazmu, budząc wśród twórców podejrzenie, iż widać nie są oni tu potrzebni. Więc odchodzą z myślą, że jeśli nie tu to może tam...

Poczucie krzywdy i niesprawiedliwości, zwątpienie w sens swojej w naszym mieście obecności budzą też zbyt nieraz subiektywne oceny działań i dokonań twórców. Środowisko dziennikarskie także nie jest tu bez winy. Różne bowiem ferowało wyroki i nie zawsze słuszne opinie.

Wartościowanie to m.in. nagrody. I w tej kwestii popełniliśmy kilka błędów. Ostatni — całkiem niedawno, gdy na jednej z łódzkich scen pojawiło się przedstawienie intelektualnie i formalnie wybitne, a doroczną nagrodę teatralną miasta otrzymało (zrządzeniem losu?) przedstawienie zaledwie poprawne. Rok po owym niefortunnym werdykcie to wybitne, a nie nagrodzone we właściwym momencie przedstawienie, zebrało większość nagród na najbardziej chyba znaczącym z ogólnopolskich festiwali; publiczność kilku miast szturmowała podwoje teatrów, by je obejrzeć, taką cieszyło się sławą i uznaniem. Po przedstawieniu nagrodzonym przez nas nie ma już śladu (poza tą przyznaną mu nagrodą), a nam pozostał jedynie wstyd. Nie pozostał natomiast w naszym mieście reżyser tego wybitnego spektaklu, ani wykonawcy głównych ról. Ich nazwiska są na liście nieobecności.

Nagrody... uznanie... Pamiętam pewien jubileusz, a więc moment szczególnie odpowiedni dla wyrażenia uznania; niedawny jubileusz teatru, który trzydzieści przeszło lat temu powstał w naszym mieście i który stał się jedną z najbardziej liczących się scen w naszym kraju... Z okazji tego jubileuszu przyznano nagrody i odznaczenia. Na liście wyróżnionych nimi przez władze miasta pracowników teatru nie było nazwiska twórcy tej sceny i autora jej największych sukcesów, mimo że twórca ten w momencie jubileuszu tego teatru działał przecież w naszym mieście. To nazwisko jest na liście nieobecności.

Pamiętam publiczne, z entuzjazmem składane, a z oporami realizowane przez władze, obietnice znaczących (wtedy, gdy bywały fundusze) dofinansowań, wizje remontów i inwestycji, w nikłym tylko wymiarze realizowane obietnice stałej, życzliwej troski i pomocy. Pamiętam słowa o wielkim zaufaniu do wielkich twórców i szokująco szybko dawane dowody zupełnego braku tego zaufania, pamiętam życzenia długich i owocnych lat twórczej pracy w naszym mieście i wiążącą się z niezrozumiałą niecierpliwością chęć niemal natychmiastowego „rozliczania" z efektów tej pracy, której winna towarzyszyć niemal cieplarniana atmosfera.

Dlaczego o tym wszystkim piszę? Czemu „odgrzebuję" stare sprawy? Bo są to sprawy, które musimy sobie uświadomić, musimy odczuć ich ciężar i wspólną winę, żeby po raz drugi nie popełnić tych samych, ani podobnych błędów. Piszę też po to, byśmy zdali sobie sprawę, że nie wszystko jest tu winą J. Łukaszewicza. Trzeba uświadomić sobie mechanizmy i dojrzeć własne słabości, bo i nas czeka ciężki bój. Bój o kulturę miasta. Odejścia twórców bolą nas bardzo. To celnie choć pewnie bez premedytacji wymierzone ciosy. Wiemy, jakie zrodziły je przyczyny. Mamy więc szansę wygrać tę walkę taktycznie, nie wolno nam jej bowiem przegrać. Mamy szansę w każdym, kto zechce z nami... Tutaj... W Łodzi.

EWA PANKIEWICZ

BOGUSŁAW KRZYSZTOF WOJTKIEWICZ (27 VII 1956 — 11 X 1980)

11 października minęła pierwsza rocznica tragicznej śmierci Krzysztofa Bogusława Wojtkiewicza, który zapowiadał się także jako utalentowany grafik. Jego spuścizna poetycka złożyłaby się na szczupły tomik, określa ona wszakże skalę możliwości talentu, któremu nie było dane rozwinąć się do końca. Można przecież pokusić się o próbę określenia wartości pozostawionych wierszy tudzież o hipotezę — niestety już niesprawdzalną — dalszego, przewidywanego rozwoju tej twórczości.

Można by za Umberto Eco powtórzyć, że każde dzieło artystyczne jest „dziełem otwartym": otwiera bowiem nieskończoną perspektywę napięć znaczeniowych wytwarzających się w rozlicznych związkach między twórcą a rzeczywistością, tekstem i odbiorcą, zamysłem artystycznym a naszymi — czytelniczymi doświadczeniami kulturowymi, które ów zamysł „sprawdzają". Przedwczesna śmierć poety wprowadza dramatyczny paradoks — to, co z natury swej jest „otwarte" zostaje nieoczekiwanie, brutalnie zamknięte; to co rysowało zaledwie możliwości twórcze, jest ich ostateczną miarą, bez dalszej korekty; to co wytwarza nieustanny „dialog" między twórcą a jego odbiorcami staje się naraz bezbronne, poddające się arbitralnym częste wartościowaniom.

Poszukując jakiejś formuły określającej fundamenty poetyki B. Wojtkiewicza musiałem przywołać pojęcie „wykorzenienia" w jego filozoficznych, egzystencjalnych intencjach. Uczyniłem to nie tylko dlatego, że sama biografia młodego poety nieuchronnie z owym stanem (wyobcowaniem, „wyrwaniem ze świata") się kojarzy, ale poświadczają ją poetyckie realizacje. „Wykorzenienie" w poezji może się przejawiać w postawie sprzyjającej „nieufnej wobec władności słowa oraz gotowych kulturowych formuł, które mogą być gwarantem pozornego ładu, poczucia „bezpieczeństwa" w świecie. Sam akt kreacji — powstawanie wiersza — jest prowokowaniem świata, dlatego wymaga (nie zaś dodaje) odwagi. Tak interpretuję zapis „Napisałem wiersz":

ręce spokojnie zamykają
stronę
teraz będzie odwaga

Pozostawiony sam sobie człowiek nie jest demiurgiem radosnym. Twórczość jest jego obowiązkiem, trudnym zadaniem zachowania Osoby w każdym z nas. Możemy się bowiem znaleźć w sytuacji, jak w wierszu „Z muzeum": „I nagle, nagle znikły obrazy, wpatrzeni w biel muru pozostali sami". Tu już nie ma miejsca na bierną kontemplację, na „konsumowanie" kultury — teraz ją trzeba stwarzać, aby tę samotność pokonać. A że jest to trud Syzyfowy potwierdza fragment z „Myśli XX: „kamienie przyklękają u końca drogi, człowiek tylko odpoczywa". Te wiersze — refleksje („Myśli") wprowadzają wątek metodologicznego wątpienia, z którym (w planie formalnym) idzie w parze oszczędność, epigramatyczność, bądź ascetyczność poetyckiej artykulacji.

W świecie, w którym słychać jedynie „suchy trzask kruszonej duszy", człowiek jest nie tyle trzciną myślącą, ile incydentem w większym, pozaludzkim procesie. Nie jest nawet przemijającym meteorem, tylko żarzącym się papierosem, które się odpala jeden od drugiego (wiersz „Papieros"). Przejście za sfery „wewnętrznej" w „zewnętrzność" — w próbę diagnozowania rzeczywistości — rodzi poetykę zbliżoną do wszelkich literackich nurtów eschatologicznych, poetykę katastroficzną. Jest to jednak raczej poetyka konstatacji, opisu, stwierdzania faktu, nie zaś (jak np. w katastrofizmie XX-lecia międzywojennego) przeświadczenia, że świat się odrodzi po jakimś koniecznym kataklizmie. To świat zniszczonego Betlejem i „więzień budowanych na wzgórzach". Nawet wtedy, kiedy wyobraźnia poety przywołuje świat antyczny (dla neoklasyków świat harmonii oraz wartości ocalających) eksponuje w nim element konfliktu, tragedii. „Odwróciłem się od murów Myken, ścieżki w gaju zarosły (...) za późno czy za wcześnie podarowano nas światu".

Ów katastroficzny ton w cytowanym fragmencie pojawiał się jako przejaw rewizji kulturowych mitów. Ale w wierszach ostatnich pojawia się dramatyczność w obrazach jakby nadrealistycznych. W „Nocy smoka" i „Nocy jaszczurki" wyraźniejsza jest projekcja osobistych lęków w wymiar nadrzeczywistości:

„Ulice pękały ślepym embrionem, pająki rozsnuwały pajęczyny, ludzie trwali w bezruchu, pioruny łaskotały ziemię, czas wszystkich opuścił, nieliczne żywe ptaki ujrzawszy zgromadzone tłumy, co przybrawszy kształt smoka stały się ciałem, zaczęły opuszczać swe gniazda".

Czy jednak wynika z tego, co wyżej mówiłem, że poezja B. K. Wojtkiewicza wyrastała z założeń jakiegoś uniwersalizującego światopoglądu artystycznego, eksponowała status poezji „zawsze i wszędzie"? Wśród wierszy, które miałem możność poznać, są i utwory wyrastające z jakichś konkretnych, życiowych czy przeżyciowych doświadczeń poety.

Niekiedy (jeśli ich bohaterem bądź adresatem jest konkretna osoba) wprowadzają element wyraźnej sytuacyjności zrozumiałej zapewne dla przyjaciół Poety. Są też wiersze, gdzie ten katastroficzny jest podany w sposób „bezpośredni" bez użycia kulturowego kamuflażu (wiersze „Myśl", „Głęboka depresja", „Pociąg rusza — proszę odsunąć się od toru"). Dla mnie wszakże utworem najbardziej przejmującym a zarazem ukazującym skalę możliwości poetyckich, którym nie było dane dalej się rozwinąć jest wiersz „List z zewnątrz".

W wierszu tym zawężone są obrazy z „rzeczywistości", sytuacja życiowa poety oraz symboliczność, której obecność gwarantuje otwarcie perspektywy na wielość znaczeń — zwielokrotnia wiersz semantycznie. Spokojna, beznamiętna relacja ironicznie kontrastuje z zawartością informacyjną tekstu („stróże i milicjanci piją, chuligani tańczą na ulicach"). Tytuł funkcjonuje w kontekście szpitalnego tramwaju 44, ale wprowadza także polski archetyp tajemniczej liczby 44. Niestety, nie dowiemy się już nigdy którą — z naszkicowanych wyżej dróg poetyckich wybrałby w końcu B. K. Wojtkiewicz.

HENRYK PUSTKOWSKI

PS. Ojciec Zmarłego p. Leopold Wojtkiewicz ufundował Doroczną Nagrodę im. K. B. Wojtkiewicza za najciekawszy debiut w dziedzinie poezji lub prozy dla młodych — nie zrzeszonych jeszcze w ZLP twórców. Od roku przyszłego nagroda ta będzie miała charakter ogólnopolski. W tym roku ma ona jeszcze zakres lokalny. Jury postanowiło przyznać tegoroczną nagrodę Ignacemu Szczepańskiemu za debiutancki tomik „Fomentum".

H. P.

BOGUSŁAW KRZYSZTOF WOJTKIEWICZ

OSTATNI DZIEŃ

pewnego dnia
korniki zaczęły toczyć ich ciała
przeczytano ostatni wiersz
ostatnie lekarstwo w nadmiarze
ostatni szybowiec z planety odleciał
to uciekali ci
którzy płacz jeszcze pamiętali
Bóg wyskoczył pierwszy
nikt nie zauważył upadku
ptakom obumarły skrzydła
gdy zwątpił tego świata ostatni.

CIEŃ

w szpitalu panny białe (a jednak żałobne)
gruchają kołysanki nad łóżkami
pomarańczowe koty chwytają
jedwabne chusteczki
lampy palą się wiecznie
czasem przychodzi Biały
pyta czy Napoleon jest już zdrów
tak drobny żołnierzu
jeszcze tylko kilka bitew
jeszcze kilka rozkazów
kilka słów
proszę pana
słucham
kto wspomina ten się starzeje

Napoleonie
jesteś zmęczony wiosną
otworzę okno
śnieg już topnieje

MYŚL

któż z nas
nie chciał rzucić się
pod koła pędzącego pociągu
któż z nas
nie był ciekaw bólu

zatrzymywał nie strach
to raczej
dziecięca nieśmiałość

— *Późno już* — powiedziałam, patrząc na cykający monotonnie budzik — *a Basi nie ma.* Chory poruszył wargami. Zrozumiałam, że chce pić. Podałam kilka łyżeczek herbaty z cytryną. Gorączka pod wieczór wzrosła. Rozpalone oczy śledziły każdy mój ruch, wyrażały niepokój. Dzwonek u drzwi zaterkotał niecierpliwie. — *Bój się Boga dziewczyno! O której ja będę w domu!* — przywitałam kuzynkę zdenerwowana. — *No, to dobrej nocy. Nie zapomnij o lekach!*

Dobiegłam do przystanku, ale tramwaj był szybszy. Szkoda mi było wydawać na taksówkę, postanowiłam więc czekać. Z prawdziwym gestem zmieniałam tramwaje, aby dalej. W mojej dzielnicy było cicho. Minęłam kościół, skręciłam w prawo.

NAPAD NA WRÓBLA

Jedna latarnia rzucała tu skąpe światło na przydrożne topole. Wtem zamarło mi serce. Przede mną, jak spod ziemi, wyrosło dwóch drabów. Twarze mieli odsłonięte, ale rysów nie można było określić. — *Mateczko, pożycz sto złotych* — poprosił beznamiętnym głosem wyższy. Bez namysłu wyjęłam z portmonetki czerwony papierek i podałam. *A ja?* — upomniał się drugi — *Może ja jestem gorszy, dlatego, że mniejszy. O, mateczka widzę jakaś niesprawiedliwa!* — podniósł głos. — *Ależ panowie, ja nie mam pieniędzy! Wracam od chorego, zostawcie mnie w spokoju.* Mówiłam zadyszana, z nagłą chrypką w głosie. Ręce mi drżały, i nie mogłam wcisnąć sakiewki do kieszeni.

— *Ja pomogę* — przyskoczył wyższy. Syknęłam z bólu, bo skręcił mi lewą rękę. Oni zaś, przeliczali mój dobytek.

— *A to nieładnie, że mateczka tak kłamie, kiedy dzisiaj cała Polska prawdę mówi* — zawstydził mnie niższy. — *Cztery stówy, i sto dobrowolnie, czyli po dwieście pięćdziesiąt na chłopa. Cholerny świat! Niewiele tego* — żalił się wyższy. Widać nie w porę zagroziłam: *Oddajcie mi to zaraz, bo zacznę krzyczeć!* Jedno tylko słowo: *Ratunku!* — utknęło mi w gardle, bo na moją biedną głowę spadło coś ciężkiego. Pociemniało mi w oczach i zwaliłam się do rowu. „Synkowie" zerwali mi jeszcze z ręki zegarek, dołożyli parę kopniaków, gdzie popadnie, i zapowiedzieli, że jak będę krzyczała, to wrócą. Tupot młodych nóg oddalał się. Mimo ogromnego bólu nie straciłam przytomności. Nie wołałam pomocy. Miałam skamieniałą twarz i zwarte szczęki. Wykręcona ręka dokuczała. W głowie coś huczało i zgrzytało, jak pracująca na pełnych obrotach maszyna. Ogarniała mnie jakaś drętwota i dziwna, nieznana do tej pory niemoc. Po niebie wędrował księżyc. Ostre gwiazdy świdrowały mi oczy. Czarne chmury tłoczyły się. Nie wiem, jak długo tak leżałam pod osłoną kościoła, z którego nie wyszedł ani jeden anioł. Gdzie jego miłosierne skrzydła? Mój Boże! Dlaczego nikt mnie nie ratuje? Przecież nie jestem na bezludnej wyspie. Nagle usłyszałam, jak ktoś się zbliża. Pełna trwogi i napięcia oczekiwałam, czy aby nie „Synkowie" wracają. Ale to był niewieści głos: — *Ktoś jęczy* — powiedziała kobieta. — *Zdaje ci się, ja nie słyszę* — zaprzeczył mężczyzna. *No, chodźmy już, bo jeszcze oberwiemy. Być może, że to jakiś bezdomny kot, albo pies. Ludzie teraz wypędzają zwierzęta.* Kilkakrotnie otwierałam usta i powtarzałam wytrwale: — *Pomóżcie mi dobrzy ludzie! Nie odchodźcie, proszę.* Ale widać było to popiskiwanie chorego wróbla, a nie normalne, ludzkie wołanie, bo nikt tego nie słyszał.

O, moje niespokojne, skołatane myśli, dajcie mi trochę wytchnienia. Zerwał się porywisty wiatr. Liście na gałęziach drzew zaszeleściły. Złapałam głęboki oddech. Dniało. Poruszyłam lewą nogą, potem prawą. I jeszcze raz to samo. Wyciągnęłam rękę w bok, i uchwyciłam jakiś niewielki krzaczek. Z trudem uniosłam się i posiedziałam chwilę. Wreszcie uklękłam, jak do modlitwy. Nie wypuszczając z ręki wątłej rośliny, usiłowałam podnieść się z tego przymusowego grobu. Ale wyczerpana przeżyciami przewróciłam się znowu. Za drugim razem poszło lepiej. Byłam uparta, i udało się. Jak się już wygramoliłam, i poprawiłam na sobie ubranie rozejrzałam się. Wokół, żywej duszy. Tam, gdzie zwykle stał mój dom. *Mój Boże* — westchnęłam. Tak blisko było do niego, i tak daleko. Na klatce schodowej spotkałam roznosiciela mleka. Spojrzał na mnie podejrzliwie, ze znajomością rzeczy. Wiedziałam, co myśli: — *Ot, spiła się babka i sponiewierała.* Wsunęłam klucz do zamka. W mieszkaniu nie widziałam nic, tylko kran i tapczan. Chciało mi się pić i spać. „Poczekajcie „Synkowie", jak „Mateczka" wypocznie nieco i oporządzi się, już zamelduje tam, gdzie trzeba, żeby was odnaleziono. Nie ujdzie wam to bezkarnie, oj nie!". Odgrażałam się, jeszcze znękana, a zarazem pełna energii i gniewu.

ALEKSANDRA OCHALSKA

OPERA

WĄTŁY „TRUBADUR"

„Trubadur" Giuseppe Verdiego, który wespół z „Rigolettem" i „Traviatą" tworzy wielką trylogię operową, jest nie najlepszą niestety jej częścią. Dzieło to budzi kontrowersyjne odczucia, urzekając z jednej strony warstwą muzyczną z drugiej zaś bulwersując zupełnie nieprawdopodobnym librettem. Niesłychana zawiłość akcji pozbawia ją szans wiarygodności do tego stopnia, że zupełnie... wiaryogdna wydaje się opowieść jednego z odtwórców tytułowej partii, który po latach jej wykonywania na wielu scenach przyznał, iż do końca swej śpiewaczej kariery nie udało mu się dowiedzieć o co w „Trubadurze" chodzi. Jeśli nawet uznać to anegdotą już obrosłe stwierdzenie za nieco przesadzone, to faktem jest, że żadne zmierzające do uprawdopodobnienia akcji i psychologicznych motywów działań bohaterów zabiegi kolejnych inscenizatorów tego dzieła nie przyniosły nigdy oczekiwanych rezultatów. Jak jednak wiadomo, opera jako gatunek przywiązuje do warstwy dramaturgicznej tak niewielką wagę że wszelkie nieprawdopodobieństwa fabuły uchodzą jej, jeśli równoważy je swa uroda i wartością artystyczna warstwa muzyczna. Ponieważ tak właśnie ma się rzecz z „Trubadurem", ambicją każdego szanującego się teatru operowego jest posiadanie tego dzieła w stałym repertuarze.

Utwór tak kontrowersyjny stawia jednak cały szereg warunków, od których spełnienia zależy powodzenie jego inscenizacji. Wszystkie te warunki sprowadzić można do jednego wspólnego mianownika łączącego dwa elementy: przemyślaną koncepcję inscenizacyjną i nienaganne, o ile nie błyskotliwe wykonanie. Nie są to zresztą warunki szczególnie wygórowane i oczekiwanie ich spełnienia towarzyszy zapowiedziom inscenizacji wszystkich dzieł operowych i teatralnych. Są to przecież warunki dla osiągnięcia powodzenia w tych dziedzinach sztuki podstawowe.

Ze zmiennym szczęściem wykonał te podstawowe przecież zadania **Teatr Wielki.** Zabrano się tu do dzieła Verdiego z widocznym w końcowym efekcie, jakim jest sceniczny kształt dzieła, pietyzmem dla zamysłu i zapisu kompozytorskiego. Żaden jednak z kilkuosobowej grupy twórców łódzkiej inscenizacji „Trubadura" nie ożywił wizji kompozytora choćby cieniem własnego emocjonalnego stosunku do niego. Podejrzewam, że takiego emocjonalnego stosunku do „Trubadura" twórcy łódzcy nie mieli wcale, a wystawiono go dla honoru domu i powodów czysto ambicjonalnych — zrozumiałych, ale dla takiego przedsięwzięcia niewystarczających. Dzieło to zaangażowało jedynie wykonawców, choć i oni, zwłaszcza przez reżysera pozostawieni sami sobie, z różną intensywnością starali się zaistnieć w tym spektaklu.

Pietyzm z jakim do kompozycji Verdiego odniósł się **Tadeusz Kozłowski**, który przygotował przedstawienie i prowadził jego premierę, dał w rezultacie poprawny kształt wykonaniu orkiestrowemu. Zamiar nadania brzmieniu właściwej dla „Trubadura" ciemnej, zagęszczonej, mrocznej barwy osiągnął on jednak raczej dzięki przedstawieniu poszczególnych grup muzyków w orkiestronie, który całkiem już mechanicznie przytłumił ostrość dźwięku, niż dzięki precyzji wykonania przez orkiestrę tego zadania.

Samemu sobie pozostawił „Trubadura" reżyser **Józef Grubowski.** Reżyserii w tym spektaklu po prostu nie było, co stało się skutkiem zarówno widocznego braku warsztatowych umiejętności reżyserskich, jak i braku niezbędnej zwłaszcza przy takiej dramaturgii koncepcji inscenizacyjnej. Może się „Trubadur" istotnie wydawać dziełem skomponowanym głównie i niemal wyłącznie z myślą o popisie wokalnym wykonawców czołowych partii, nie może jednak współczesny **teatr operowy** czuć się zwolniony z obowiązku takiej prezentacji dzieła, która mogłaby bardziej niż sam tylko popis wokalny zainteresować jego współczesnych, ogromnie wymagających odbiorców, których rzesze z niezwykłym trudem przychodzi poszerzać temu bardzo umownemu i specyficznemu gatunkowi sztuki jakim jest opera. Mówił co prawda mistrz reżyserii (także operowej) Leon Schiller, że dobrze wyreżyserować sztukę to po prostu ustalić wykonawcom wszystkie sceniczne wejścia i zejścia oraz zadbać o to, by nie zderzali się ze sobą na scenie, ale w powiedzeniu tym więcej jest kokieterii i skromności wielkiego mistrza niż jego rzeczywistych przekonań o funkcji i zadaniach reżysera i o niezwykle skomplikowanym warsztacie i instrumentarium twórczym inscenizatora. Jeśli jednak przyjąć za dobrą monetę ten program minimum, to i tak dla sukcesu zastosowania takiego programu niezbędny jest warunek zwykłej logiki, a i tej nie widziałam w propozycji niektórych zastosowanych przez **Józefa Grubowskiego** rozwiązań inscenizacyjnych Leonorze, do której chór mniszek adresuje swoją pieśń, kazał reżyser pozostać na ten moment za kulisami w czwartym zaś akcie po wielkiej arii tejże Leonory, którą śpiewaczka wykonuje stojąc przodem do widowni na tle siedzącego do niej plecami i milczącego jak głaz chóru, chór z woli reżysera wstaje i odbiera należne solistce brawa. Dalszego opisu innych, podobnych jakościowo rozwiązań reżyserskich (choć były one równie zabawne), oszczędzę i czytelnikom i reżyserowi.

Przy takiej antykoncepcji inscenizacyjnej mocno przerośnięta wydać się musiała koncepcja scenograficzna **Ireny Skoczeń.** Scenografia w oczywisty sposób, ale bez swojej winy wyrastała nad to co działo się na scenie, robiąc wbrew samej sobie z kolei wrażenie niespójnej z całością widowiska. Ona jednak nosiła na sobie ślad inwencji twórczej swojej autorki.

W przerastającej sceniczny rytm przedstawienia scenografii, mozolnie walcząc z brakiem logiki zdarzeń dramaturgicznych i brakiem logiki rozwiązań reżyserskich wystąpili **soliści i chór Teatru Wielkiego.** Partię Leonory śpiewała gościnnie **Bożena Kinasz-Mikołajczyk.** Wybitna ta śpiewaczka, obdarzona ładnie brzmiącym i nośnym głosem, wykonała trudną partię z wielką kulturą wokalną i nienaganną precyzją. Niezłym aktorstwem zaś błysnęła nestety dopiero w czwartym akcie przedstawienia. We wspaniałej, świetnie skomponowanej i nasyconej największą dozą dramatyzmu roli Azuceny, z dużym powodzeniem wystąpiła **Ryszarda Racewicz,** zasłużenie zbierając największe owacje zarówno w czasie spektaklu, jak i po jego zakończeniu. Swoim mocnym głosem operowała z dużą swobodą, prowadzić go lekko po wszystkich zawiłościach partytury, a swoboda wokalna pozwoliła jej dużą uwagę poświęcić działaniom aktorskim, którymi uprawdopodobniła działania i psychikę postaci wręcz nieprawdopodobnej. **Ryszard Kłosiński** w tytułowej partii Trubadura Manrica swobody tej nie miał i nadmiernie skupiony na wokalnej stronie swojej roli nie uniknął właśnie wokalnych, a głównie intonacyjnych potknięć (drugi akt — opowieść o bitwie). Aktorstwa tego śpiewaka nie opisuję. Niech fakt ten będzie jego oceną. **Włodzimierz Zalewski** z powodzeniem wystąpił w roli Ferranda, a wyrazy uznania należą mu się głównie za świetnie, z maestrią zaśpiewaną opowieść o dziejach rodu hrabiego di Luna, która to opowieść nie tylko otwiera przedstawienie, ale i tłumaczy wszystkie późniejsze zawiłości libretta i pokrętność dramatycznych zdarzeń. W partii di Luny słuchaliśmy **Wiesława Bednarka.** Zaśpiewał on tę partię poprawnie, acz bez wzlotów i bodaj nie uczynił niczego, by uczłowieczyć kreowaną przez siebie postać i pokazać choćby cień złożoności jej charakteru. Kochał „strasznie", a żądza mordu i zemsty była w nim „wielka". Poprawność wokalna, czystość brzmienia, nośność niezłego, choć niezbyt wielkiego głosu, mogłyby wespół z lepszym aktorstwem przynieść interesującą rolę. Wypada żałować, że tak się nie stało. W niewielkiej partii Inez, bez większego zresztą powodzenia, choć z dużym wdziękiem i kulturą sceniczną, wystąpiła **Maria Szczucka.** Ow brak powodzenia to skutek wątłej kondycji głosowej, która uczyniła śpiewaczkę zupełnie niesłyszalną w scenach zbiorowych.

Jacek Tomasik słusznie chyba nie pozwolił nazywać swojego udziału w tym przedstawieniu mianem choreografa. Opracowany przez niego ruch sceniczny wydał mi się nazbyt chaotyczny i nieskoordynowany, choć być może i tu jest to kwestia trudnego zgoła związku z trudną reżyserią. Chór wypada mi prosić o większą siłę wokalną, a **Romana Zielińskiego,** który przygotował go do występu w tym przedstawieniu, o wzmożenie pracy nad emisją głosów.

EWA PANKIEWICZ

PROFESOR Siewierski

W dniu 9 października 1981 roku zmarł w Warszawie, w wieku 81 lat, doktor praw Mieczysław Siewierski, profesor zwyczajny prawa karnego, wieloletni kierownik Katedry Postępowania Karnego na Uniwersytecie Łódzkim, wieloletni prokurator Sądu Najwyższego oraz Najwyższego Trybunału Narodowego. Jego odejście stanowi dla polskiego świata prawniczego bolesną stratę. Zmarły wpisał się dziełem swego życia na trwałe w historię polskiego prawa.

Aczkolwiek większą część swego życia spędził w Warszawie, to jednak związany był z naszym miastem najściślej, tu bowiem od 1945 roku mieszkał i tu rozpoczął swą działalność naukową i dydaktyczną na Uniwersytecie Łódzkim, którego był jednym ze współzałożycieli. Jako kierownik Katedry Postępowania Karnego skupił wokół siebie liczne grono młodzieży prawniczej. Jego pierwsze wykłady z lat 1945—1946 — prowadzone jeszcze w salach kin, w których podówczas z braku własnego lokalu odbywały się zajęcia Wydziału Prawa — głoszące zasady polskiego prawa karnego po okupacyjnej nocy, zjednały mu szeroki krąg słuchaczy i entuzjastów, którzy pozostali mu oddani aż po kres Jego życia. Wielka wiedza, szerokość horyzontów i rzetelność myślenia w połączeniu z osobistym urokiem i umiejętnością zjednywania sobie serc ludzkich powodowały, że wśród młodzieży prawniczej i kolegów uniwersyteckich otoczony był ogromnym szacunkiem i szczerą przyjaźnią.

W pracy naukowej i dydaktycznej osiągnął to, co udaje się zazwyczaj tylko wybitnym uczonym: wykształcił grono uczniów, którzy kontynuują Jego dzieło. Z prowadzonego przez Niego zakładu wyszło dwóch profesorów, jeden docent, grupa doktorów i dziesiątki magistrów.

W okresie okupacji prof. Siewierski pracował w Departamencie Sprawiedliwości Delegatury Rządu przygotowując m.in. wspólnie z prof. Stanisławem Śliwińskim, jednym z najwybitniejszych polskich uczonych-karnistów, projekt prawa o karaniu zbrodni wojennych, który przekazany został rządowi emigracyjnemu i ogłoszony został następnie jako dekret prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 30 marca 1943 r. o odpowiedzialności karnej za zbrodnie wojenne. Dekret ten nie odegrał wprawdzie praktycznej roli na ziemiach polskich, gdyż represja wobec zbrodniarzy wojennych ostatecznie potoczyła się innymi torami. Tym niemniej stanowił on pierwsze ustawowe ujęcie tego problemu w prawie karnym państw sprzymierzonych.

Po wojnie prof. Mieczysław Siewierski włączył wszystkie swe siły, talent i energię w dzieło odbudowy ojczyzny. Podjęte na Uniwersytecie Łódzkim obowiązki połączył z pełnieniem szeregu innych odpowiedzialnych prac. Bezpośrednio po wyzwoleniu pełnił przez pewien czas obowiązki pierwszego prokuratora Sądu Najwyższego a następnie — prokuratora Sądu Najwyższego i prokuratora Najwyższego Trybunału Narodowego. Oskarżał przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w procesach wytoczonych głównym zbrodniarzom hitlerowskim (A. Greiserowi, L. Fischerowi et cons., A. Forsterowi, R. Hoessowi, A. Goethowi), którzy odpowiedzialni byli w największej mierze za zbrodnie dokonywane w okupowanej Polsce. Wypełnienie tego zadania, które było nie tylko aktem wymiaru sprawiedliwości, lecz doniosłym aktem historycznej dokumentacji, wymagało najwyższych kwalifikacji i ogromnego wysiłku. Ogrom zbrodni, które trzeba było osądzić, a które wypływały z konsekwentnie realizowanego założenia, że naród polski ma być nie tylko pobity, lecz w wyniku przegranej wytępiony, przekraczała dotychczasowe doświadczenia ludzkości, wychodził poza znane dotychczas prawne regulacje, a jako taki wymagał nowych pojęć i konstrukcji prawniczych; pewne pojęcie o trudnościach tych daje Jego książka (napisana wspólnie z T. Cyprianem i J. Sawickim) pt. „Głos ma prokurator".

Był prof. Siewierski jednym z wybitnych współtwórców kształtujących oblicze polskiego prawa karnego zarówno przez swe prace naukowe, prace kodyfikacyjne, wykłady oraz przez swe dzieło komentatorskie. Był On autorem szeregu podręczników, przeszło stu artykułów, kilkudziesięciu innego rodzaju prac naukowych (przeglądów orzecznictwa, glos, recenzji). Wielkim dziełem Jego życia były komentarze do kodeksu karnego, kodeksu postępowania karnego, innych ustaw karnych, prawa karnego skarbowego, kodeksu wykroczeń. Komentarze te już przed wojną zjednały Mu szerokie uznanie, po wojnie zaś — stale doskonalone i obejmujące coraz to nowe dziedziny prawa — uczyniły Go niekwestionowanym autorytetem dla najszerszych rzesz prawników — praktyków. Wymownym dowodem osiągniętej pozycji stały się m.in. odpowiedzi, jakich w 1970 r. udzielili ankietowani sędziowie, na pytanie czy przy wymierzaniu kary kierują się zdaniem autorytetów i jakich. Sędziowie ci wskazali przede wszystkim na prof. Mieczysława Siewierskiego (T. Kaczmarek: Sędziowski wymiar kary w PRL, Wrocław, 1972, s. 296).

Profesor Siewierski był par excellence prawnikiem. W'erzył w prawo i wszystkie swe wysiłki kierował ku tworzeniu dobrego prawa i ku jego właściwemu stosowaniu. Jako uczestnik wielu prac kodyfikacyjnych pracował z pasją, zaznaczając wszędzie w sposób widoczny swe stanowisko. Starał się nie tylko prawo współtworzyć, lecz — także — rzetelnie je stosować i tę umiejętność rzetelnego stosowania przekazać innym. Temu celowi służyła zarówno Jego działalność naukowa, jak i aktywność dydaktyczna. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że bez dobrego i honorowanego przez wszystkich prawa nie może rozwijać się nasze państwo, przeto o takie prawo i taką praworządność walczył. Taka postawa nie zjednywała Mu przyjaciół w okresie, w którym prawo było powszechnie łamane. W roku 1952 padł ofiarą prześladowań. Aresztowany i skazany, odzyskał w 1955 roku wolność. Po rehabilitacji — mimo ciężkich przeżyć — włączył się w nurt pracy naukowej i społecznej. W 1965 roku wydaje kolejne, dziewiąte już wydanie komentarza do kodeksu karnego oraz (we współautorstwie) komentarze do ustaw karnych dodatkowych, do kodeksu postępowania karnego, prawa karnego skarbowego. Pisze też wiele artykułów, zwłaszcza z dziedziny prawa wykroczeń. Wejście w życie nowych kodyfikacji karnych uchwalonych w 1969 roku staje się dla Niego bodźcem do wzmożenia wysiłków; wydaje (we współautorstwie) komentarze do nowego kodeksu karnego i nowego kodeksu postępowania karnego. W ostatnich latach przed śmiercią przygotowywał następne wydanie komentarza do kodeksu karnego.

Śmierć osób wybitnych nie tylko okrywa żałobą tych zwłaszcza, którzy mieli szczęście z nimi bliżej się stykać, lecz także stwarza potrzebę dokonania syntezy życia i dzieła tych osób. Taki syntetyczny obraz profesora Mieczysława Siewierskiego — to obraz wielkiego prawnika, niezmordowanego rzecznika idei praworządności, człowieka wielkiego serca, prostoty i niezwykłego osobistego uroku. Takim pozostaje w pamięci tych wszystkich, którzy mieli okazję zetknąć się z Nim osobiście.

JAN WASZCZYŃSKI

CIENIUTKI (2)

KAZIMIERZ KOLINKA

„Przez kilka kolejnych dni *leciałem majkę*. Coraz lepiej znosiłem *kopa* po zastrzyku. Nie rzygałem już, tylko suszyło mnie okropnie i długo trzymał mnie *dygulec*. Na zajęcia chodziłem w kratkę. Kolesie zaczęli mnie strofować. — *Tego kwiatu to pół światu, nie ta, to inna*. Powiedziałem, żeby się odpieprzyli. Po prostu jestem trochę chory, ale już mi przechodzi.

Skończyła się *majka*, ale nie minęła rozpacz. Kocham Ulkę, muszę być z nią, inaczej życie nie ma żadnego sensu. Postanowiłem jeszcze raz poważnie porozmawiać. Czekałem kilka dni. Widzę, jak robi słodkie oczy do „Pedanta", ale znoszę to z dziwną, nie wiem skąd wziętą cierpliwością. Ogarnęła mnie apatia. Własne życie oglądam, jak smutny film. Oblałem kolejne kolokwium. Właśnie w tym dniu, jakby chcąc zaczernić go do reszty, postanowiłem rozmówić się z Ulą.

Po zajęciach wziąłem ją bezceremonialnie pod rękę i mimo tchórzliwych protestów „Pedanta" — zaciągnąłem do parku. Perswaduję, zaklinam, błagam o miłość. Jest lodowata. W jakimś momencie dociera do mnie, że ją nudzę, że moja miłość nie pokona tej szklanej góry. Odwróciłem się i odszedłem, urywając w połowie zdania. Zaniosło mnie, jak zwykle, do „Glapy".

Siedział wściekły, dręczył go głód morfiny. Odpowiedziałem mu o swojej niedoli, musiałem się przecież komuś wypłakać. Przyznałem się również do kradzieży *majki*. — *Gdzie ją masz?* — spytał „Glapa". — *Poleciałem* — wyznałem zgodnie z prawdą.

Tego nie mogłem przewidzieć. „Glapa" zerwał się nagle, chwycił mnie za gardło i zaczął tłuc moją głową o ścianę. Ogłuszył mnie chyba, bo ocknąłem się, leżąc na podłodze. Nie miałem żalu, że dał mi wycisk, zrozumiałem, jak bardzo go skrzywdziłem. — *„Glapa"* — powiedziałem. — *Mam forsę, kupę forsy. Odkupię ci tę majkę, masz, weź. Kup dla mnie też i kup mi panienki.*

Spojrzał z niedowierzaniem, wziął *patyka*, obejrzał go uważnie i spytał: — *Za wszystko?* Nie zdążyłem potwierdzić, a już był w progu.

Wreszcie u siebie. Zamknąłem drzwi pokoju na klucz. *Kopnęło* mnie solidnie — dawno nie brałem. Kochałem się z Ulką. Biegaliśmy po ukwieconej skąpanej w słońcu łące. Rwaliśmy kwiaty i mościliśmy z nich posłanie, tu Ulka miała urodzić dziecko. Przebudzenie było okropne. Gryzłem palce, żeby nie było słychać szlochu. Nie mogłem dłużej tego znosić, brakowało siły. Wziąłem wszystkie *panienki* i butelkę piwa, napisałem kartkę do rodziców.

W parku nic się nie zmieniło. To nasza ławka... Był we mnie wewnętrzny spokój i przekonanie, że nie wycofam się już. Otworzyłem butelkę, wysypałem tabletki na dłoń i zacząłem je połykać po kilka, popijając piwem. Wyrzuciłem pustą butelkę i ułożyłem się na ławce. Teraz już nie było odwrotu, wiedziałem, że umrę.

Dostałem *kopa*, ale nie takiego, jak po *majce*. To było łagodne przechodzenie do stanu kolorowych wizji. Napadła mnie chęć deklamowania. Mówię jakieś miłosne wiersze. Gorąco, zimno. Nic nie boli, tylko w głowie pulsuje coraz intensywniej, w oczach rozpalone, ogniste kule. Zapadam się gdzieś w głęboką przepaść.

Budzi mnie silne światło, straszliwie razi. Boli głowa, serce i żołądek. Chcę, żeby światło zgasło, ale ono rozszczepia się na miliony promieni i miliardy iskier, zaciska ogniste sznury, dusi i parzy. Dlaczego mnie budzą, po co szarpią? Z mlecznej drogi wyłania się twarz matki.

Rekonwalescencja trwała kilka tygodni.

Otworzyłem nowy rozdział w życiu. Przestało mi zależeć na czymkolwiek. Liczyło się tylko to, co dla mnie ważne. Rzuciłem studia, sama myśl o tym, że mógłbym spotkać Ulkę i „Pedanta" napawała mnie obrzydzeniem. Znienawidziłem przewrotny świat wykształconych ludzi. Zanurzyłem się po uszy w ludzkim szambie. Starzy myśleli, że nadal studiuję i dawali tygodniówki. Cała flota szła na *majkę*.

Kryzys przyszedł po wiosennych egzaminach, kiedy rodzice zażądali indeksu. Dostałem wtedy od ojca po pysku, matka przez kilka dni chodziła zapłakana. Któregoś wieczoru doszło do zasadniczej rozmowy. Mieszkać mogę nadal z nimi, ale muszę podjąć pracę i oddawać część pieniędzy. Jeżeli tego nie uczynię, to od nowego miesiąca nie otrzymam w domu nawet kawałeczka suchego chleba. Oburzyło mnie to okrutnie, ja się przecież na świat nie prosiłem.

Do roboty oczywiście nie poszedłem. Mieszkałem nadal u starych, ale prawie się z nimi nie widywałem. Przychodziłem późną nocą, kiedy już spali. Wychodziłem przed południem, wtedy oni byli w pracy. Żarło musiałem zdobywać sam. Właściwie to prawie nie bywałem głodny, gorzej było z paleniem. Na razie żyję na koszt ludzi, dają kanapki i palenie. Grunt, że mamy *majkę*.

Nasza *rodzina* była zgodna. Szefował „Glapa", jako najstarszy w fachu. Seniorię tworzyli: „Romani", „Patyk", „Sok" i „Gambuzino". Najważniejsze dziewczyny to: „Ciapulska", „Bąbel", „Kapsel", „Sara". Nowicjat odbywali: „Bieriozka", „Brudna Magda". „Długopis", „Ali", „Łazarz", „Winda" i ja „Cieniutki". Fajnie jest nam razem. Całe dnie spędzamy w Łagiewnikach albo Arturówku. Można się byczyć do woli, nikt nie zwraca na nas uwagi, bo nie robimy żadnych drak. „Glapa" z obstawą trzymają nas w ryzach. Jak brakuje forsy, najmujemy się do rwania truskawek albo porzeczek — szmalu mamy jak lodu.

Skończyły się jednak wakacje, część ludzi musiała wrócić do szkoły. Coraz rzadziej jeździliśmy do Łagiewnik. Forsy nie ma, nie ma też *majki*. Apteka u „Kruszyny" prosperuje znakomicie, zaopatrzenie bez zarzutu, ale ceny — ho, ho! Za *dwójkę majki* trzeba było dać stówę. Ludzie przynosili tygodniówki, ale to były grosze, a nam coraz częściej dokuczał głód. Zbieraliśmy makulaturę, szmaty i butelki — trochę reperowało to nasz fundusz, ale ciągle było mało. Wyzbywaliśmy się płyt i książek, podkradaliśmy starym forsę. Zgłosiłem się kiedyś z chłopakami do rozładunku wagonów — wpadło wtedy parę setek. „Kruszyna" aż się uśmiechnął na widok takiej forsy. Sprzedał nam wtedy kilkanaście *jedynek*.

Nie przeczuwaliśmy, że to nasze ostatnie spotkanie z „Kruszyną". Wpadł „Kruszyna", jego kumple i złodzieje, którzy dostarczali towar. Byliśmy całą paką na sprawie. „Kruszyna" sypnął i razem z nim poszło siedzieć jeszcze paru ludzi, którzy wiedzieli o metodach zaopatrywania *apteki*, albo sami robili skoki na *farmacje*. Załapali po dwa lata.

Po tym procesie dołączyła do naszej rodziny „Łagodna". Jej chłopak poszedł siedzieć i nie wiedziała, nieboraczka, gdzie się podziać. Nową zaopiekował się „Patyk". Trzeba przyznać, że warta była opieki. „Patyk" zupełnie zgłupiał na jej punkcie. Jak mu się udało gdzieś zdobyć *majkę*, to dzielił się z nią na pół, nawet jednym centymetrem. Takiego poświęcenia u nas nie znano.

Krucho nam się teraz wiedzie. *Gliny* zaczęły nas tropić. Musimy zmieniać lokale. Przed południem spotykamy się w naszych mieszkaniach, pod wieczór w „Egzotycznej" lub „Tureckiej". Szmalu nie ma, *dopalaczy* także, z mortusu pijemy *czaj*, ale on nie daje *kopa*. W „Egzolu" poznaliśmy „Mąta" — brudny, śmierdzący wszarz, ale ma chatę i metodę na zaprawianie się. „Mąt" kazał nam zrobić zrzutkę. Jak uzbieramy dwie stówy, to załatwi nam takie *loty*, że majka *kuca*.

U „Mąta" była niezła *chawira*. Pod ścianami stały trzykondygnacjowe pryczе (obliczyłem, że na dwanaście osób), na środku pokoju okrągłe palenisko, ułożone z polnych kamieni. „Mąt" zapalił światło i zasłonił okno, zauważyłem wtedy, że zasłony są czarne. Wyjmuje paczkę świec i przekrawa je na pół. Każdemu po ogarku i — wyskubać knoty. Przyniósł kuchenkę elektryczną i wstawił do paleniska, na niej umieścił garnek z wodą i poczekał aż zacznie wrzeć. Na wrzątek kładzie miseczkę, wlewa do niej jakieś krople. W pokoju intensywnie pachnie miętą. Wtedy „Mąt" bierze od nas świece i ustawia je dookoła na palenisku. Zapala je i gasi światło. Robi się bardzo fajnie. Szumi gotująca się woda, ogarki rzucają na ścianę tajemnicze cienie, odurzająco pachnie mięta.

„Mąt" wyjął długi, cienki patyczek i odpalił od ogarka. Zagiewkę pochylił nad garnczkiem, buchnęły jasno opary spirytusu. — *Jeszcze trochę* — stwierdził „Mąt" — *i będzie dobre*. Wyjmuje strzykawkę i pudełko igieł, kładzie je przy palenisku.

— *Teraz, milaski, zrobimy tak: każdy, kto chce dostać wywaru, rozbiera się do golaja, bierze swój ogarek i włazi na pryczę — tylko nie wszyscy na raz.*

Sprawdził żagiewką, czy *napar* jest palny. Zdjął miseczkę i wyłączył maszynkę. Wylał wrzątek i napuścił do garnka zimnej wody — schładzał *napar*.

Pierwsza odważyła się „Ciapulska". Stanęła, jak ją Pan Bóg stworzył, wzięła swój ogarek i poszła na pryczę. Patrzyłem z podziwem. Szeroko biodrzasta, z dużymi piersiami. Pomyślałem, że jest stworzona do rodzenia dzieci.

„Mąt" naciągnął w strzykawkę *naparu*, podszedł do „Ciapulskiej", energicznie wbił igłę; kiedy skończył — poklepał dziewczynę po siedzeniu. Bardzo nie podobało się to „Glapie", widziałem, jak zacisnął pięści.

Postanowiłem *brać* na końcu. Przyznam szczerze, chciałem zobaczyć nasze dziewczyny nago. Rozbierali się na przemian — dziewczyna i chłopak, kładli na pryczę i czekali, kiedy igła, jak klucz, otworzy wrota kolorowej krainy szczęśliwości.

„Bąbelek" była maleńka, bez ubrania wyglądała na trzynastoletnią dziewczynkę. Prawie nie miała piersi. Szybko, wstydliwie przemknęła na pryczę.

„Kapsel" oświadczyła, że nie zdejmie majtek. Otrzymała zgodę „Mąta", ale biustonosz musiała zdjąć.

„Sara" rozbierała się dystyngowanie, zdejmowała pojedynczo poszczególne części ubrania i układała porządnie przy palenisku.

Następną była „Bieriozka", naprawdę smukła jak brzózka. Miała wspaniały, długi warkocz. Oczekując na swoją kolejność rozplatała włosy i teraz, zanim zdjęła z siebie bluzkę, potrząsnęła głową — włosy zalśniły w blasku świec i opadły na ramiona, okrywając piersi. Nie podnosząc głowy, zdjęła spódnicę i bieliznę, porwała ogarek i dwoma krokami dopadła pryczy. Współczułem jej, musiała być bardzo *głodna*, że zdecydowała się na tę rozbierankę.

Pierwsi byli już w dobrym transie, kiedy przyszła kolej na „Łagodną". Spojrzała na „Patyka" i powiedziała: — *Proszę, Pat, ty pierwszy.*

Zdumiałem się, powiedziała to cicho i miękko, a „Patyk" bez słowa zaczął rozbieranie. Stanął nagi, dłońmi nakrył przyrodzenie, chciał się odwrócić i sięgnąć po ogarek. Zatrzymała go. — *Pat, jesteś piękny, nie wstydź się, Pat.*

Rozebrała się tak, jakby nas nie było, podeszła do pryczy, chwilę trwała niezdecydowana, położyła się obok „Patyka". Była piękna. Patrzyłem na tych dwoje nagich ludzi. Wiedziałem, że nie są w stanie współżyć ze sobą. Narkotyk to wyklucza. Boże mój, do czego doszedłem? Takie dziewczyny rozbierają się w obecności tego wszawego „Mąta" tylko dlatego, że ma *wywar*.

Ocknąłem się po kilku godzinach ze straszliwym bólem głowy. Chata była odrażająco brudna. Wszyscy ubrani, siedzą ze spuszczonymi głowami. Koło paleniska leży czyjeś ubranie. Rozejrzeliśmy się po sobie. — *Gdzie „Bieriozka"* — wrzasnął „Glapa". — *Coś z nią zrobił, ty gnoju!*

Złapał „Mąta" za uszy i ciągnął z całej siły. — *Nic, nic ja nie wiem, co się z nią stało!*

„Glapa" puścił purpurowe uszy „Mąta" i kopnął go kolanem w podbrzusze. Zwalił się „Mąt" na podłogę, wtedy „Glapa' zaczął kopać. Bez litości, po brzuchu i głowie. To było straszne, cała podłoga zachlapana krwią. Wtedy „Mąt" wycharczał: *uciekła!*

— *Jak? Jak? Przecież była naga?*

— *Uciekła goła. Jak Boga kocham, nic jej nie zrobiłem. Chciałem się tylko z nią przespać, ale nie wiedziałem, że to taka prawiczka.*

c.d.n.

odgłosy

REDAGUJE KOLEGIUM: Jerzy Wawrzak (redaktor naczelny), Jerzy Katarasiński (z-ca redaktora naczelnego), Grażyna Szypowska (sekretarz redakcji) Konrad Frejdlich oraz ZESPÓŁ: Ryszard Binkowski, Tadeusz Błażejewski, Małgorzata Golicka Jacek Indelak, Eugeniusz Iwanicki (z-ca sekretarza redakcji), Ryszard Łucyszyn (fotoreporter), Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Marek Miller, Jerzy Rzymowski, Tomasz Soldenhoff.
KONSULTACJA GRAFICZNA: Janusz Szymański-Glanc. NADZÓR TECHNICZNY I KOREKTA: Krystyna Sardecka, Maria

LEWYM OKIEM

POMNIKI ŻYJĄ DŁUGO

Jest taki znany cytat z wiersza Tadeusza Borowskiego:

„Zostanie po nas złom żelazny
i głuchy, drwiący śmiech
pokoleń..."

To bardzo gorzka myśl, i bardzo prawdziwa. Może tylko należałoby ją uzupełnić: zostaną jeszcze pomniki.

Pamiętacie film „Planeta małp"? Z całej ogólnoludzkiej kultury pozostał oto pomnik, sterczący w pustkowiu ogromna postać, dokoła której skaczą małpy. Żadna z nich nie wie, że ta postać symbolizowała przed wiekami wolność, żadna w ogóle nie zna takiego pojęcia.

Pomniki żyją długo, o wiele dłużej niż pamięć ludzka, która miały uszlachetniać i wspomagać. Ileż mijamy codziennie dumnych postaci z brązu i z kamienia, o których nie wiemy nic; z ilu kamiennych i brązowych symboli wyparowała wszelka treść — a stoją i nikt już nie wie, czemu miały dawać wyraz, komu oddawać hołd.

Pomniki bywają patetyczne, alegoryczne, dziwne i śmieszne. Wydaje mi się, że mnożenie pomników jest oznaką szukania rekompensaty przez zbiorowość, dotkniętą kompleksem niższości. W południowoamerykańskich miasteczkach roi się od pomników niezwyciężonych wodzów i światowej sławy mędrców. W Europie czym mniejszy kraj, tym — można się założyć o każdą sumę — więcej pomników przypada na głowę ludności. Byłem w miastach, nie zapisanych niczym w historii powszechnej, gdzie na każdym placyku stał potężny jeździec z ręką, wskazującą drogę ludzkości.

Bywają pomniki stawiane za życia bohatera — i z tymi ma się czasem kłopoty. W malutkim Klesowie na Polesiu wzniesiono w 1938 roku pomnik ówczesnego śląskiego wojewody, Grażyńskiego. Nikt z tubylców nie wiedział, co to za facet. Grażyński był wielką figurą wśród przedwojennych polityków, rządził na Śląsku jak chciał — ktoś mu pewnie chciał podwazelinować, stąd pomnik. Na Polesiu!

„Kurier Warszawski" w 1932 roku zamieścił notatkę, że w jednym z kościołów garnizonowych pod Warszawą artysta malarz Szczeblewski namalował obraz świętego Michała o rysach marszałka Piłsudskiego, który był wtedy u szczytu władzy. To też był swoisty pomnik, ale bardziej malarza, niż jego obiektu.

Wyczytałem w „Polityce" (z 17. X. br.) o konkursie na pomnik dzieci nie narodzonych. Ma stanąć w Katowicach z inicjatywy sekcji „Solidarności" Związku Plastyków. Ciekawe, jak ma wyglądać nie narodzone dziecko — czy to będzie wielkie Jajo, czy wielki Plemnik? Czy może embrion w jakimś tam przemyślnie wybranym stadium, chociaż co do mnie to wszystkie te studia wydają mi się mało apetyczne jako artystyczne tworzywo. Inicjatorom chodzi o unaocznienie, upostaciowanie, usymbolizowanie zbrodni, jaką popełniamy przerywając ciążę. Taka publicystyka przy pomocy pomnika. Jak wiadomo wszystkie farmaceutyczne środki antykoncepcyjne też w gruncie rzeczy przerywają ciążę, tyle że bardzo wcześnie. Bez nich też rodziłyby się dzieci, które tej wątpliwej przyjemności pozbawiono. Jak to wszystko pokazać na pomniku, żeby się nasze wnuki nie śmiały? Te urodzone wnuki, bo innym wszystko jedno.

Nie daj Boże, żeby ktoś pomyślał, że kogoś uważam za niegodnego pomnika. Do długiej listy pomników odsłoniętych ostatnio i zamierzonych na najbliższą przyszłość chętnie bym dopisał jeszcze około trzystu zarówno postaci indywidualnych, jak i czynów, godnych upamiętnienia. Boję się jednak kogoś czy coś pominąć, a do uczestnictwa honorowego w żadnym komitecie budowy nie pretenduję.

Więc jeszcze tylko mała ciekawostka w związku z toczącą się po raz dwunasty za mojego życia dyskusją co do miejsca pochowania Stanisława Augusta. Wiecie, co go zdopingowało do ubiegania się o tron polski? Sam o tym napisał w swoich pamiętnikach tak:

„Myśl, która mnie najwięcej zajmowała, była, że gdybym został królem, to prędzej czy później cesarzowa mogłaby pomyśleć o ślubie ze mną i że to nigdy by się nie stało, gdybym królem nie był...".

Tysiące było w historii takich, co się żenili, żeby dostać koronę. Nasz Poniatowski inaczej: on chciał korony, żeby się ożenić!

ĆWIEK

FRYZURY

Rys. ANDRZEJ GRUN

SPORT

ZENON LASKOWIK I PRALNIA

Wszystko się dokładnie wymieszało i okazuje się, że kabaret „Tey" z Poznania wraz z Zenonem Laskowikiem oraz pralnia mogą mieć dla sportu podstawowe znaczenie, co jeszcze kilkanaście miesięcy temu było nie do pomyślenia. Mógł wprawdzie Zenon Laskowik szydzić ze sportowych i niesportowych wyczynów sportowców, ale na ogół miał one zainteresowania. Teraz, kabaret „Tey", występujący w hali sportowej mieleckiej Stali, ratuje jej kasę. Stal przejęła od WSS „Społem" dwie pralnie, aby czerpać z nich dochód, służy miejscowej klienteli usługami w swojej klubowej pralni i szuka innych sposobów na zdobywanie złotówki. GKS Tychy natomiast chciał prowadzić... brygadę remontową, która zarabiałaby na klub, ale przepisy stanęły temu na przeszkodzie, co wcale nie znaczy, że pomysł odrzucono całkowicie.

Sportowcy sprawili nam ostatnio kilka miłych niespodzianek, zdobywając mistrzowskie lub wicemistrzowskie tytuły, piłkarze zakwalifikowali się do mistrzostw świata w Hiszpanii, ucieszyło to kibiców i podniosło na duchu. Jak się chce — to się może — powiedzieliśmy, co też ma krzepiące znaczenie. Ale sytuacja z polskim sportem nie jest dobra, a będzie jeszcze gorsza. Spółdzielczy KS „Cracovia" dostawał na swoją działalność prawie 6 milionów zł, teraz zaledwie około 6,5. Łódzki Klub Sportowy ma 15 milionów długu i być może przedany zostanie na licytacji. Tylko kto dziś kupi klub sportowy nawet z 70-letnimi tradycjami? Kto kupi boisko, stadion, halę sportową? Wszystko to trzeba konserwować, ogrzewać zimą, oświetlać nocą. Kosztuje to, a — jak wskazuje praktyka — zysku nie przynosi. Więc Zenon Laskowik musi sport ratować.

Kryzys dotknął również sportu. Nic w tym dziwnego. Kryzys obejmuje wszystkie dziedziny życia gospodarczego i społecznego. Na dodatek przychodzi zima, a w życie zaczyna wchodzić reforma gospodarcza. Przedsiębiorstwa staną się samorządne, samodzielne, samofinansujące się i dojdą do wniosku, że nawet resztki finansowania klubów sportowych są im niewygodne. Osamotniony sport może sięgnąć dna. Straty tym spowodowane trzeba będzie odrabiać latami. A przecież chcemy, aby polscy sportowcy święcili triumfy na zagranicznych boiskach. Jak to zrobić, kiedy dziś problemem staje się oświetlenie boiska wieczorem, kiedy mecz się rozgrywa, a energię trzeba oszczędzać, kiedy restauracje nie podejmują się karmić sportowców w ich podróżach po boiskach Polski, a kibice chcą oglądać atrakcyjne, sportowe widowiska.

Można grać do południa, wtedy nie trzeba oświetlać boiska. Można założyć przy klubie własne gospodarstwo rolne, zaorać boiska treningowe, wozić po Polsce własną kuchnię polową i karmić sportowców. Można sportowców wozić po Polsce pociągami, bo może zabraknąć benzyny dla autokarów, tylko, co wtedy zrobi się z kuchniami polowymi. Można... Gospodarczym sposobem nie zdobędzie się jednak sprzętu sportowego, który poziomem dorównywałby temu, czym posługują się zawodnicy innych krajów. W telewizji pokazano onegdaj ostatni odcinek filmu Jerzego Surdela o zdobywaniu podziemnych jaskiń Ameryki Południowej. Film pokazuje akcję ratowniczą, w której biorą udział speleolodzy różnych krajów, ratując Polaka, pod którym urwała się lina rodzimej produkcji jednej z fabryk z Bielska-Białej. Dziś fabryka ta robi pewnie jeszcze gorsze liny, albo nie robi ich wcale. A bez sprzętu średniej klasy światowej sukcesów w nowoczesnym sporcie się nie odniesie. Samego zapału na długo młodym ludziom nie starczy.

Stworzono niedawno system stypendialny dla sportowców, ale dziś wszyscy — bogaci w pierwsze doświadczenia — mówią, że system ten jest niedobry. Ale innego nie ma. I nikt nie wie, co robić, jak postępować, aby klubom sportowym zapewnić znośną egzystencję na czas kryzysu, żeby mogły go przetrwać i żeby przy wychodzeniu z kryzysu sport mógł szybko odrobić straty. Trzeba jednak mieć świadomość tego, że nie będzie to łatwe i nie wszystkie straty będą do odrobienia. Sport, tak samo jak i kultura poniesie straty nieodwracalne. Obowiązkiem wszystkich działaczy sportowych, kibiców, całej sportowej społeczności wreszcie jest szukanie takich sposobów postępowania teraz, aby te nieodwracalne straty mogły być jak najmniejsze. A tymczasem kluby powoli rozwiązują sportowe sekcje. Legia pozbyła się na przykład sekcji hokejowej, a w gdańskim Bałtyku rozwiązano sekcje rugby, sportu u nas raczej rzadkiego. Przykłady można mnożyć.

Nie maluję tak ponurego obrazu sportu polskiego, by straszyć, ale aby zmusić do zastanowienia: co robić, jak postępować, jak chronić sport przed klęską, na jakich zasadach opierać obecną działalność klubów, skąd brać pieniądze? Na te pytania mogą odpowiedzieć tylko sportowcy, działacze sportowi, sympatycy sportu, ci wszyscy, którym jego przyszłość i teraźniejszość leży na sercu.

BOGDA MADEJ

TELEWIZJA

FAKTY I INTERPRETACJE

Ostatni tydzień w naszym kraju był wypełniony tyloma faktami, iż normalny zjadacz chleba (wreszcie jakby lepszego), chcąc je wszystkie zrozumieć, musi popaść w prostrację czyli w „skrajne wyczerpanie nerwowo-psychiczne połączone ze spadkiem sił i zobojętnieniem". Pewien mój znajomy, zapytany o swój stosunek do tej lawiny wydarzeń, powiedział: „Ja, proszę ciebie, patrzę na to wszystko z punktu widzenia". Gotów jestem przyjąć ten retoryczny wykręt: rzeczywiście, przyzwyczajając się codziennej szermierce na oświadczenia, jaka rozgrywa się między Bugiem i Odrą (szczęk kling — raz z gorszym, raz z lepszym efektem — usiłuje odtworzyć Dziennik Tv), można rozumieć chęć poszukiwania azylu w jakimś stoicyzmie pozbawionym nadziei.

Wydarzenia w Katowicach i we Wrocławiu, których bezrozumności nikt nie jest w stanie zanegować, a do których doszło pod nieobecność Lecha Wałesy w kraju, w ostatniej rezolucji Komisji Krajowej (ostatniej — do niedzieli 25 października) interpretuje się jako zagrożenie związku, ponieważ zatrzymywani i aresztowani zostali jego działacze. Pisałem już na tym miejscu, iż taka swoista metoda „interpretacji", jaką uprawiają niemal wszystkie oświadczenia i rezolucje „Solidarności", jest przecież krótkowzroczna. Otóż centrum uwagi w tych oświadczeniach skupia się na skutkach, że zatrzymani, aresztowani, zwolnieni z pracy (konflikt w Lubogórze), nękani przez prokuratorów etc, etc., całkowicie — ale chyba świadomie — pomijając przyczyny. Inaczej mówiąc, jeśli pomija się milczeniem fakty, które jakie są ale są, i ich ocenę zastępuje się dramatycznym sloganem, to bardzo wielu z tych, którzy są widzami owego pojedynku rząd — „Solidarność" musi mieć wątpliwości co do racji, którymi szermuje Komisja Krajowa. Obyśmy nie przeinterpretowali rzeczywistości dając przewagę hasłom nad faktami! A „dramatyczna debata nad rezolucją" (tytuł sprawozdawcy „Życia Warszawy"), podczas ostatniego posiedzenia najwyższej władzy „Solidarności", sprawiała takie wrażenie. Sięgnąłem do „Życia Warszawy" bo telewizja przekazała w sobotnich Dziennikach (tym razem we właściwej kolejności) tylko uchwałę Komisji Krajowej i oświadczenie Komitetu Rady Ministrów d/s Związków Zawodowych. Na tymże posiedzeniu KK uchwalono także rozszerzenie bojkotujących restrykcji wobec telewizji, z czego wynikać będzie dalszy uwiąd informacji w tv o działalności związku.

Pomijając te aktualia, których konsekwencje ogarną nas w najbliższych dniach, TvP przedstawiła w ciągu minionego tygodnia jeszcze dwa programy, oglądane zapewne z zainteresowaniem proporcjonalnym do ich problemowej rangi. Pierwszy z nich to nadana w piątek (powtórzona w niedzielę) audycja zatytułowana „[illegible] 1956" (prezentowanej w tym samym czasie na dwójce „Ciotuni" mimo zachęt red. Rumowskiej nie oglądał chyba nikt!). Do tej pory o wydarzeniach węgierskich z 1956 roku można było przeczytać w starych zszywkach naszych gazet z tamtego okresu (np. reportaże Wiktora Woroszylskiego w „Przeglądzie Kulturalnym"), w niektórych powieściach podejmujących, mniej lub bardziej aluzyjnie, temat budapeszteńskiego października (np. w „Kamiennych tablicach" Wojciecha Żukrowskiego), bądź, całkiem ostatnio, w nieoficjalnych broszurkach. Dobrze więc się stało, że telewizja, na skutek różnych intencji, także rocznicowych, ów wątek podjęła. Dobrze również, że tym razem obyło się bez zdawkowej żonglerki słów, że ponadgodzinna audycja stanowiła próbę dość szczegółowej rekonstrukcji faktów i to w perspektywie współczesnych Węgier. Tu muszę objaśnić, że zasługi naszej tv kończą się w momencie podjęcia decyzji o emisji „Węgier 1956", bowiem cały program był przeniesieniem z telewizji węgierskiej. Prowadził go (z dociekliwością godną zalecenia naszym prezenterom) dziennikarz węgierski, rozmawiając z Węgrami — specjalistami od historii najnowszej. Oglądając tę audycję, gdyby nie obawa o mieszanie się w wewnętrzne sprawy naszych bratanków znad Dunaju, chciałoby się niektóre kadry rekonstrukcji zatrzymać na moment, posłyszeć w interpretacjach jakiś ton polemiczny. Dla Węgrów to historia, która przeniósł do książek dzień dzisiejszy, dla nas doświadczenie, jakiemu ów dzień dzisiejszy nadaje sensy zgoła niehistoryczne.

Drugim programem, któremu towarzyszyło najwyższe zainteresowanie telewidowni (będzie chyba powtórzony?) był dwuodcinkowy reportaż Jerzego Ambroziewicza i Tadeusza Zakrzewskiego „Polacy w Austrii" (sobotnie „Studio 2"). Pośród wielu reportaży i audycji publicystycznych nadawanych ostatnio w TvP program Ambroziewicza i Zakrzewskiego wyróżnia się przede wszystkim odpowiedzialnym, rozległym i obiektywnym potraktowaniem problemu nasilonej emigracji Polaków, bez pseudopatriotycznej demagogii, bez perswazyjnego komentarza stara się dotrzeć (ze znakomitym skutkiem) do wszelkich aspektów tułaczej egzystencji. Przedstawia ją bez nadużywania czarnej barwy. Fakty, które mówią same za siebie, winny stać się przedmiotem refleksji zarówno dla podejmujących decyzje o emigracji, jak i dla tych, od których zależy los młodych w kraju.

Jeśli już o publicystyce telewizyjnej mówię, nie mogę nie wspomnieć o reportażu Jadwigi Wileńskiej, nadanym w bloku łódzkim, w piątkowym programie drugim. Porażający obraz życia Domu Opieki Społecznej w Wiśniowej górze otrzymał telewizyjne imprimatur w momencie, kiedy winni ponieśli karę. Niechaj zatem ten interwencyjny, w zamierzeniu, reportaż będzie społecznym wyrzutem sumienia dla tych, przy których po dziś dzień tolerują zło i przestępstwo tam, gdzie nie zdołał dotrzeć jeszcze reporter i telewizyjna kamera.

GRZEGORZ GAZDA

1/6 mini magazynek

HASŁO NUMERU: Strach ma krótkie nogi, kłamstwo wielkie oczy.

Korespondencja

Do redakcji „1/6" nie nadeszły listy następującej treści:

Szanowny Panie Redaktorze!

Składam stanowczy protest przeciwko manipulacjom zastosowanym w numerze 43 ukazujących się przy Was „Odgłosów". Oto pozwolono sam sobie podpisać mój felieton „Idzie zima" nazwiskiem niejakiej Bogdy Madej. Domagam się wyciągnięcia, a jeśli nie to wszczęcia.

Z poważaniem
Marcin Rodak

Szanowny Panie Redaktorze!

Jacyś brutalni prowokatorzy użyli mojego nazwiska do podsyfikowania im felietonu „Idzie zima" zamieszczonego w 43 numerze pisemka „Odgłosy". Czegoś takiego nigdy w życiu nie napisałam. Jak nie wyświetlicie to ja Wam wyświetlę!

Z odpowiednimi wyrazami
Bogda Madej

OD REDAKCJI

Wszczęliśmy sami i wyświetliliśmy. Specjalna komisja stwierdziła jaskrawe i karygodne naruszenie, w związku z czym zaproponowała niewyciąganie żadnych konsekwencji. Od niniejszego postanowienia nie przysługuje odwołanie.

OGŁOSZENIA DROBNE

• **ANTYKOROZYJNE** zabezpieczanie układów kierowniczych. W hurcie opłaty obniżone.
Oferty pod „Reformator"

• **PRZEZIMUJE** kogoś chętnie.
Pytać o Misia

Kontrofensywa

Jesień to nie tylko złote promienie słońca, kolorowe liście i szaruga. To również wzrost zachorowań i epidemie. Na szczęście nie jesteśmy bezbronni. Dysponujemy szerokim asortymentem broni konwencjonalnej, takiej jak leki roślinne i chemiczne, poza tym bronią nowoczesną, do której należy zaliczyć szczepionki i całe armie antybiotyków. Mając te cuda możemy być zupełnie spokojni o wynik naszej choroby.

Niepokoi mnie tylko trochę świadomość, że gdzieś tam na sali szpitalnej, w mieszkaniu, czy po prostu na ulicy stoją rzędy bakterii i wirusów z podwiniętymi rękawami, by przyjąć szczepionki przeciw antybiotykom.

Decyzje od których wiele zależy

Z jesienią kojarzą nam się również owoce. Niestety, bardzo często jemy je zbyt pochopnie, bez zastanowienia. A jest o czym myśleć. Weźmy na przykład takie jabłka. Jedzenie jabłek, jak wiadomo, odgrywa ogromną rolę w ograniczaniu przyrostu naturalnego. Przypomnijmy, że jabłka mogą być jedzone zarówno przez mężczyznę, jak i przez kobietę, przy czym — jak wykazały szczegółowe badania — są one zupełnie nieszkodliwe dla organizmu ludzkiego, a nawet wręcz zdrowe, zwłaszcza po dokładnym ich umyciu gorącą wodą lub obraniu skórki. Stuprocentową niezawodność metody uzyskujemy w przypadku spożywania jabłek gotowanych wraz pestkami.

Oczywiście, jeśli chcemy ograniczyć przyrost naturalny gruszek, robimy to samo z gruszkami.

Jan Walek

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy", al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicystyki 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacje o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 156 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP: XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139, prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 2334. K-2.